PRZEGLĄD KRYTYCZNY.

Nr. 14. 30 Listopada. 1875.

Wychodzi z końcem każdego miesiąca.

REDAKCYA: Zwierzyniecka Nr 36 w Krakowie.

ADMINISTRACYA: w księgarni G. Gebethnera i Sp. nakładców w Krakowie.

Cena przedpłaty:

Rocznie: 6. Złr. = 4. Rs. = 4. Tal. = 14. Fran.
Półrocznie: 3. „ = 2. „ = 2. „ = 7. „
Kwartalnie: 1. 50. „ = 1. „ = 1. „ = 3. 50. „
Pojedynczy Nr kosztuje 60 ct. = 35 kop. = 12 sgr. 1 Fr. 25 cent.

Ogłoszenia księgarskie przyjmuje Administracya po 6 ct. od wiersza.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ: Księgarnia G. Gebethnera i Sp. w Krakowie, oraz wszystkie większe księgarnie w kraju i za granicą.

W Warszawie skład główny w księgarni **Gebethnera i Wolffa.** — W Poznaniu I. K. Żapańskiego. — W Paryżu Libraire de Luxembourg.

Treść.

Od Wydawców.

Mamy zaszczyt zawiadomić Szanownych Czytelników **Przeglądu Krytycznego**, że pismo to, wydawane dotychczas nakładem Adolfa Otremby, księgarza tutejszego, nabyliśmy na własność i wydawać będziemy odtąd naszym nakładem. **Redakcya** pozostaje nadal niezmieniona, w tym samym składzie, i trzymać się będzie dotychczasowego programu i kierunku. Do starań jej o coraz większe pomnożenie grona współpracowników i o dalsze ulepszenie pisma będziemy się usilnie przykładać i czynić jej wszelkie ułatwienia.

Rozmiary pisma, termin wychodzenia i warunki prenumeraty, **tymczasowo** zostają te same co dotąd.

Bieżący kwartał doliczamy do czterech ubiegłych, tak, iż pierwszy rocznik, składający się z pięciu kwartałów, ukończy się 15 numerem w końcu Grudnia b. r., a dopiero od Nowego Roku rozpocznie się następny.

G. Gebethner i Spółka.

Kraków 29 Października 1875 roku.

Wydawnictwa pisma **Przegląd Krytyczny** odstąpiłem zupełnie od miesiąca Października b. r. księgarni pp. G. Gebethnera i Spółki w Krakowie.

Adolf Otremba.

Filozofija.

Dr. Władysław Daizenberg: Filozofija Leibniza. Kraków. Nakładem autora. 1875, str. 107. 8vo.

220] Autor podaje przedewszystkiem główne daty życiorysu filozofa i jego dzieł najważniejszych; dalej wylicza filozofów, którzy nie mogli mieć wpływu na niego jako późniejsi; wreszcie kataloguje spółczesnych i dawniejszych, którzy mieli większe lub mniejsze znaczenie dla Leibniza. To stanowi pierwszy wstęp do rozprawy.

W drugim wstępie przedstawia p. D. położenie Niemiec za czasów naszego filozofa, kreśląc zarazem bieg kształcenia się jego, przyczem walka z perypatetyzmem silnie zaakcentowana została, gdy autor wspomina o stanie ówczesnym filozofii niemieckiej. Tu przystępujemy już do samej treści rozprawy.

Chcąc uwydatnić charakter filozofii Leibniza, p. D. roztacza przed czytelnikami obrazki trzech jej składowych pierwiastków, które znajdujemy w systemach Dekarta, Spinozy i Giordana Bruna (str. 20—55). Przedstawienie filozofii Dekarta jest jasne i zrozumiałe; w mniejszym stopniu odnajdujemy te cechy w szkicu systematu Spinozy, a rzecz o monadzie Giordana Bruna prezentuje się nam w chaotyczno-urywkowym nieładzie. Podług p. Daj. powtarzającego słowa Nourrissona, Dekart jest ojcem sensualizmu Condillaca i idealizmu Fichtego; system Spi-

nozy jest hańbą dla ducha ludzkiego (s. 42); Brunonowym poganinem.

Opowiedziawszy stosunek trzech powyższych filozofów do siebie, p. D. zamiast streścić naukę Leibniza, podaje przekład jego „Monadologii“ w 90 ustępach. Tym sposobem pracę zrozumienia filozofa, którą nam miał ułatwić, wkłada p. D. na własne nasze barki, każąc nam czytać i rozbierać urywkowe, niesystematyczne, a z powodu zwięzłości niezawsze jasne frazesy Monadologii. Prócz tego wiadomo każdemu znającemu historyę filozofii, że w Monadologii nie ma bynajmniej streszczenia całkowitej nauki Leibniza; czytelnik więc z przewertowania jej nie może odnieść takiej korzyści, jakąby miał ze sprawozdania o głównej treści wszystkich dzieł naszego filozofa.

P. D. stara się wprawdzie objaśnić naukę o monadach cytatami z rozprawy „o naturze i łasce“, ale objaśnienia te jako zbyt pobieżne nie mogą zadowolnić ani naukowego, ani popularnego czytelnika książki.

Po takim zagmatwaniu raczej niż rozwinięciu systemu L-a, p. D. w krótkich słowach napomyka o stosunku jego do filozofii Dekarta, Spinozy i Bruna; a przytem stara się oczyścić charakter osobisty filozofa od zarzutów Dühringa, co mu niezupełnie się udaje.

Naostatek daje p. D. krótką ocenę filozofii L'a, oznacza jej stosunek do chrześcijaństwa, wspominając o teodycyi, do Locka i Platona; — a wszystko to na 14 stronnicach.

Z powyższego sprawozdania sam już czytelnik łatwo dostrzedz może, że większą część rozprawy zajmują rzeczy, którychbyśmy się w niej nie spodziewali, tj. zbyt obszerne stosunkowo streszczenia filozofii Dekarta, Spinozy i Bruna; że natomiast filozofia L'a została upośledzona i na ostatnim niejako postawiona planie, chociaż z założenia rozprawy pierwsze miejsce zajmowaćby powinna. Do tych najogólniejszych spostrzeżeń dodać musimy kilka szczegółowych objaśnień, tyczących się samej oceny filozofii L'a i stanowiska autora rozprawy.

Dziwne jest kryteryum prawdy p. D-a! Wymaga on, ażeby każdy system filozoficzny zadawalniał zarówno rozum, serce jak i wyobraźnię człowieka. Jeżeli bowiem system jaki nie zadawalnia rozumu, jest niezaprzeczenie błędnym. Jeżeli system nie zadowolni wyobraźni, jest mistycyzmem. Jeżeli nakoniec nie zaspokoi serca, będzie wstrętnym spinozyzmem. Podług tego poglądu filozofia staje się łupem, rzuconym na pastwę każdej jednostce ludzkiej, która podług swego widzimisię może ją podeptać nogami, albo wywieźć na ołtarz wszechwiedzy, ponieważ każda jednostka stosownie do swego temperamentu i wychowania odmienne ma potrzeby serca i wyobraźni, które sąd rozumu nieraz zupełnie sfałszować mogą. Prócz tego autor, jak się zdaje, uważa systemy za dzieła sztuki a nie nauki, gdyż inaczej nie podobna nam pojąć, co może wyobraźnia i serce robić w sądzie złożonym na ocenienie systemu naukowego. Ani matematycy, ani astronomowie, ani przyrodnicy, ani lingwiści nie pytają się o sąd wyobraźni i serca, gdy chcą ustalić jakąś prawdę naukową. Dwa razy dwa cztery może nie zaspokajać ani serca, ani wyobraźni, a pomimo to, prawdą być nie przestaje. Pięknieby wyglądał lingwista, gdyby jak Dębołęcki lub Jocher radził się wyobraźni czy serca tłomacząc pierwiastki wyrazów!

A zatem potrzeba albo uznać systemy filozoficzne za pośledniejszego gatunku poematu, albo też w ocenianiu ich trzymać się tylko wymagań rozumu, tj. tej władzy duszy, która potrafi rozróżnić prawdę od fałszu. Zdawało mi się zawsze, że dotychczasowy rozwój filozofii tej przynajmniej prawdy powinien nas był nauczyć; ale p. D. zachwiał moje przekonanie, dowodząc faktycznie; że są ludzie, którzy i w filozofii niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli.

Myliłby się jednk, ktoby sądził, że jedynem kryteryum prawdy u p. D. jest owo jednostkowo-antropologiczne stanowisko. Nie! P. D. przyzywa jeszcze ku pomocy drugie kryteryum tj. chrześciaństwo. „Istnieją „tylko dwa przeciwieństwa: — pod względem dogmaty„cznym teizm i panteizm; pod względem metafizycznym „dualizm i monizm; a pod względem wyznaniowym chrze„ścijaństwo i pogaństwo. Tutaj wolno wybierać: poza temi „dwoma przeciwieństwami nie ma żadnego wyboru, bo „poza niemi nie ma żadnego rozumu, tylko nielogiczność“ (s. 87).

Z tych dwu kryteryów kręci p. D. bicz na Leibniza. Słabą stronę filozofii jego widzi w tem, że chce być chrześcijańską, a jest zarazem klasyczno-pogańską; że chce być monistyczną, a jest dualistyczną (a bynajmniej odwrotnie); że chce być teistyczną, a jest panteistyczną (str. 88). „Tak mści się moderantyzm — dodaje p. D. — Leibniz czuł wstręt do spinozyzmu, a jednak jego filozofija jest bardzo pokrewną spinozyzmowi. L. bierze za podstawę swego dynamizmu samoistność entelechij monadowych, a więc ich metafizyczną niezawisłość od Boga. Jakże można podobne wyobrażenie filozoficzne nazwać chrześcijańskiem?... Jak pogodzić z chrześcijaństwem twierdzenie, że duch bez ciała istnieć nie może? jak pogodzić to zdanie z twierdzeniem L-a, że Bóg nie ma ciała“ (str. 88).

Podobnież oceniając stosunek L'-a do Platona, p. D. powiada: „Filozofia Platona jest jakoby zarodem wszystkiej późniejszej filozofii... jest przeczuciem, jasnowidzeniem prawdy... proroctwem, wieszczbą; zaś filozofia L-a jest moderantyzmem, naśladownictwem, objawem błędu i znikomości. Plato chociaż poganin, wzbija się siłą swego geniuszu i natchnienia w krainy chrześcijańskości, zaś L. chociaż chrześcijanin, ugrzązł w błocie pogaństwa i z niego wydobyć się nie może“ (107).

Zgodnie z takiemi poglądami p. D. sądzi, że Locke napisał romans o duszy, ale romans wolterowski, brudny, bezecny (102), i radzi zajrzeć do filozofii średniowiecznej i w niej „wypłókać pogańskie szaty filozofii „dzisiejszej“ (s. 97,8).

Oto na jakie szlaki zaprowadziło p. D-a fałszywe pojęcie o sprawdzaniu prawdy! Pomięszanie dwu odrębnych dziedzin ducha ludzkiego: teologii i filozofii, którego niepodobna nam było przypuszczać po upadku scholastyki, p. D. uważa za kwintesencyją rozwoju umysłowego od najdawniejszych aż do najnowszych czasów! Mamyż zbijać to mniemanie? Zdaje nam się, że tak jak zachcianki wyobraźni i serca w sądzie o filozofii, tak i pretensye teologii do królowej nauk są już dostatecznie ocenione zarówno przez obcych, jak i przez naszych filozofów, ażeby tę zrobioną już robotę na nowo rozpoczynać. Dziś, gdy filozofia stara się zająć miejsce w rzędzie nauk, trudno, a nawet niepodobna ściągać ją do rzędu sztuk pięknych, utworów fantazyi i serca. Dziś, gdy filozofia określiła już granice swych badań i nie myśli wkraczać w nieodpowiednią dla siebie dziedzinę teologii, byłoby straconem usiłowaniem narzucać pęta teologii na wolną córę myśli.

Ostatecznie gdyby nas zapytano, czy p. D. rozjaśnił samodzielnie choć jedną kwestyę w filozofii L'-a, śmia-

łobyśmy odpowiedzieli, że nie rozjaśnił żadnej. Jego wyobrażenia filozoficzne atakowano już z różnych stron, p. D. zaatakował ze strony teologii chrześcijańskiej i zgodził się z Heglem, że Leibniz napisał romans metafizyczny. Jestto rezultat w historyi badań filozoficznych nic nieznaczący. Co do popularnego znaczenia rozprawy p. D. to jedynie pierwsza część (wstępy i rozbiór systematów Dekarta i Spinozy) może mieć dla początkujących pewną wartość, druga zato mało przyniesie im korzyści. *P. Ch.*

Pedagogia i książki szkolne.

Dr. Czesław Rodecki. Fizyka dla niższych szkół gimnazyalnych i realnych. Wydanie drugie. Lwów, 1875 str. 277, 8vo.

Dr. Antoni Kauer. Nauka fizyki i chemii dla szkół wydziałowych i wyższych klas ludowych metodycznie ułożona, tłom. L. Wajgla i M. Kawczyńskiego. Wiedeń, 1874 i 1875. Część I. str. 178; cz. II. str. 162; cz. III. str. 160. 8vo.

221] Napisanie dobrego podręcznika fizyki dla szkół niższych wymaga wielkiej staranności i wielkiej znajomości tak samego przedmiotu, jak i pedagogiki. W podręczniku fizyki musi być dobraną stosowna metoda, sam przedmiot winien być zamknięty w skromnych rozmiarach, a określenia wszelkie (definicye) powinny być jasne i ścisłe. Wszystkim tym wymaganiom może uczynić zadość tylko sumienny bardzo nauczyciel, doświadczony w zawodzie pedagogicznym. Podręczników fizyki tak w języku polskim, jak i w językach obcych jest bardzo wiele, a jednak nie wielka tylko ich liczba może być uznaną za dobre. W najnowszych czasach w języku polskim pojawiły się dwa takie podręczniki, p. Rodeckiego (wydanie drugie) i tłomaczenie p. Kauera: o nich podamy tu krótkie sprawozdanie.

P. Rodecki w fizyce swej nie zawsze posiłkuje się właściwą metodą. W mechanice prawo równoległoboku sił, w akustyce rozchodzenie się głosu, w świetle odbicie całkowite, itd. nie są wyprowadzone z doświadczeń, ale za pomocą rozumowania dedukcyjnego, metodą zupełnie niewłaściwą w szkołach niższych. Najlepiej metodycznie wyłożoną jest nauka o magnetyzmie i elektryczności, najgorzej mechanika. Określenia używane przez autora czasem też grzeszą przeciw ścisłości i jasności.

Przechodząc do szczegółów, podniesiemy tu tylko zarzuty ważniejsze:

Autor określa fizykę „jako naukę zajmującą się wyjaśnieniem zjawisk i podającą prawa, podług których „zjawiska się odbywają (str. 1)". — Jestto określenie za ogólne i niejasne, w ten sposób autor wszelkie nauki zajmujące się światem materyalnym, musiałby zaliczyć do fizyki.

Na str. 5 jest powiedziano: „Ciała bez wyjątku są „bezwładne, to znaczy, że nie mogą zmienić stanu, „w którym się znajdują"; gdyby takie było pojęcie bezwładności, to ciała bezwładne nie mogąc podlegać zmianom, pozostawałyby w stanie martwym, z którego nic ich obudzić nie byłoby w stanie. Na str. 9 niewiadomo co znaczy zdanie: „Gdy przyjmiemy za jednostkę objętości „jeden centimetr sześcienny, wtedy ciężar gatunkowy jest „gran". Na str. 11 niepotrzebnem i niedokładnem jest tłomaczenie różnego stanu skupienia ciał za pomocą sił pylinkowych (międzycząsteczkowych).

W cieple nie ma wzmianki o współczynniku rozszerzalności ciał, a nauka o promieniowaniu ciepła powinna być połączona z nauką o świetle.

W mechanice autor nie odróżnia kierunku siły od kierunku ruchu; mówi o chyżości bez poprzedniego wyłożenia o ruchu jednostajnym. Błędnie też autor utrzymuje, że „przez chyżość rozumie się długość drogi, którą „ciało przebiega w jednej sekundzie" (str. 61); takie pojęcie stosuje się tylko do ruchu jednostajnego; przy wolnem spadaniu ciał już pojęcie chyżości musi być inne. Autor też wiedzieć powinien, że jakość ruchu zależy nietylko od jakości siły, ale i od samego ciała na które siła działa; że siła chwilowa działając na ciało oprócz ruchu jednostajnego może mu nadać też i ruch obrotowy.

Na str. 73 jest błędnie powiedziano: „że ciało, w któ„rymkolwiek punkcie linii kierunkowej ciężkości podparte „lub przytwierdzone, upaść nie może".

Przy włoskowatości autor mówi: „Gdy przyczepność „jest bardzo mała, wtedy dla przeważającej spójności płyn „w rurce niżej się wzniesie" (str. 102). Któż to zrozumie?

Prawo Mariotta tak ważne w fizyce, powinien był autor wyprowadzić z doświadczeń, a należało wspomnieć, że do par ono się nie stosuje.

Przyczyną wiatrów nie jest obrót ziemi na około osi (str. 164), obrót ziemi wpływa tylko na zmianę kierunku wiatrów.

Przy świetle nie ma wzmianki o sposobach mierzenia chyżości światła.

Wybór przedmiotu autor uskutecznił bardzo oględnie, terminologia jest też bardzo dobra.

Chociaż więc fizyka p. Rodeckiego nie czyni zadość wszystkim wymaganiom podręcznika, jednak może być z korzyścią użyta za książkę pomocniczą przy nauce fizyki, szczególniej, jeżeli nauczający tego przedmiotu ważniejsze błędy z niej usunie, a metodę wykładu w niektórych miejscach odmieni.

222] Gorszą od fizyki p. Rodeckiego jest fizyka i chemia Kauera, spolszczona przez p. L. Wajgla w części pierwszej, a przez p. Kawczyńskiego w częściach pozostałych. — Kauer tak fizykę, jak i chemię wykłada metodą indukcyjną, wszystkie najdrobniejsze nawet prawidełka wywodzi z doświadczeń. Całą fizykę i chemię ujął w doświadczenia, wyjaśnienia i prawidła, stosując to i do najważniejszych zasadniczych praw jakoteż i do najdrobniejszych zjawisk. W ten sposób wykład fizyki i chemii staje się zanadto drobiazgowym, a przezto uciążliwym tak dla nauczyciela, jak i dla ucznia; nie ma uwydatnionej różnicy między prawami ważnemi i prawidełkami drobnego znaczenia, a przez nagromadzenie wielkiej ilości prawideł nie powiązanych niczem ze sobą, obciąża się nadzwyczajnie pamięć ucznia. P. Kauer dalej nie pozostawił nawet w swej fizyce właściwego miejsca na określenia (definicye), umieszcza takowe niestosownie przy wyjaśnieniach doświadczeń; a dla niektórych nie znajduje nigdzie miejsca: np. co nazywamy ciałem, czem się zajmuje fizyka itd. nigdzie autor nie mówi. Nie idzie też autor od rzeczy łatwiejszych do trudniejszych, ale często odwrotnie np. akustykę zaczyna od nauki o uchu.

W zagadnieniach reguła postępowania zamiast na początku, jest podana wbrew logice na końcu. P. K. w swej fizyce przedmiot rozszerza też poza właściwy zakres dla szkół niższych, niepotrzebnie np. mówi o diamagnetyzmie, o analizie spektralnej, psychrometrach itd. Tłomaczenie na język polski nie jest dobre, szczególniej niedbale jest spolszczoną część pierwsza, określenia są nieścisłe, i tak np. jest powiedziano:

*

na str. 3: „Przyjmujemy, że podzielność ciał ma „pewną granicę, i że każde ciało powstaje z cząste-„czek, które nie dadzą się podzielić; takie małe ciałka „nazywają się drobinami. Drobiny mogą składać się je-„szcze z cząstek mechanicznie nierozdzielnych, części te na-„zywają się niedziałkmi lub pylinkami, atomami". Kto z tego zrozumie, jaka jest różnica między drobiną i niedziałką?

na str. 8: „Jeżeli ciało jakieś pozostaje w równem „oddaleniu od swego otoczenia, to mówimy, że znajduje „się w stanie spoczynku". Określenie błędne a przedewszystkiem niejasne;

na str. 9: „Żadne ciało nie może zmienić swego „pierwotnego stanu, czyli każde ciało usiłuje pozostać „w stanie, w którym się znajduje, tj. każde ciało jest bez-„władne". Zdawałoby się z tego, że ciało spoczywające powinno raz na zawsze być w spoczynku, choćby nawet na ciało działały przyczyny zewnętrzne, pobudzające go do ruchu;

na str. 18: „W każdem ciele stałem możemy zna-„leźć punkt, w którym ono może być podparte, aby nie „upadło; w tym punkcie zdaje się spoczywać cały cię-„żar; punkt ten zowiemy punktem ciężkości (zapewne „środkiem ciężkości) ciała". Zupełnie jestto błędne pojęcie środka ciężkości;

na str. 20: „Większa część ciał nie jest podpartą „w środku ciężkości, ale mają punkt podparcia powyżej „środka ciężkości, a wtedy mówimy, że stoją albo leżą". Niewiadomo nawet, co to zdanie ma znaczyć.

Moglibyśmy podobnych zdań błędnych lub niejasnych wyliczyć bardzo wiele, jest ich mnóstwo w części pierwszej; część druga i trzecia jest znacznie lepiej spolszczoną. Terminologia polska nie jest bez zarzutów, najgorzej, że w obu częściach fizyki nie jest jednakowa.

W ogólności fizyki Kauera w tłomaczeniu polskiem nie możemy uznać za podręcznik właściwy dla uczniów, co najwyżej mogą z niej tylko nauczyciele czerpać wskazówkę, w jaki sposób doświadczenia urządzać przy wykładzie, tak przy wyjaśnieniu, jak i tłomaczeniu zjawisk fizycznych i chemicznych. *E. S.*

Historya.

Ksiądz Kujot: Opactwo Pelplińskie. Pelplin 1875. Nakładem autora. 8vo str. XI i 496. 6 obrazków.

223] Chcąc ocenić jakieś dzieło, trzeba zważyć przedewszystkiém na to, jakie sobie autor postawił głównie zadanie, czy daje nam studyum ściśle historyczne z całym aparatem naukowym czy też obraz na tle historycznem osnuty; obraz taki może być bardzo cennym i ciekawym, temu nie zaprzeczamy, chociaż wolelibyśmy ściśle naukową rozprawę. Ksiądz Kujot, o dziele którego tutaj parę słów powiedzieć zamierzamy, nie postanowił spisać historyi klasztoru pelplińskiego w formie czysto naukowej, lecz chcąc sobie uzyskać szersze koło czytelników, zwłaszcza na rodzinnem Pomorzu, starał się o wykład przystępny dla ogółu wykształconych ludzi. Znając dokładnie Pomorze i wiedząc, jak tam mało ludzi z wyższem fachowem wykształceniem, nie dziwimy się wcale, że autor zastósował do swego dzieła formę popularną, bo tym sposobem istotnie liczyć może na liczniejsze grono czytelników w tamtych stronach, gdzie tak mało wiedzą o własnej przeszłości. Opowiadanie takie rozciekawi niejednego i rozbudzi w duchach uśpionych zamiłowanie do dawno minionej a szczęśliwszej przeszłości i do własnego narodu. Obraz swój osnuł autor przeważnie na podstawie źródeł dotąd drukiem nieogłoszonych, które w przedmowie wylicza. O kronice peplińskiej obiecuje nam autor na przyszłość szczegółowe sprawozdanie. Życzymy, żeby to rychło nastąpiło [1]), oraz żeby autor starał się także wyśledzić źródła, z których kronikarze zakonni Jerzy Ketner i ojciec Rockel czerpali.

W wstępie (str. 1—39) daje autor pogląd na dzieje Pomorza do r. 1258, oraz na rozkrzewienie się Cystersów po ziemiach słowiańskich w ogóle.

Rozdziały I—V opisują wprowadzenie Cystersów naprzód do Pogutek a potem do Peplina, oraz ich usadowienie i urządzenie się tamże, sposób ich życia i zatrudnień, oraz organizacyą wewnętrzną (str. 40—321).

Dalszy ciąg zawiera wiadomości historyczne i gospodarskie o dobrach i wioskach należących do klasztoru (str. 321—448), a ostatni rozdział zajmuje się historyą zewnętrzną klasztoru od najdawniejszych czasów aż do zniesienia konwentu r. 1823 (str. 449—496).

Zadanie swoje przeprowadził autor w sposób umiejętny a książka jego czyta się z wielkim interesem; witamy więc w autorze ze szczerą życzliwością zdolnego pracownika na niwie dziejów ojczystych.

Rozumie się samo przez się, że żadne dzieło nie jest bez usterków; wolną więc od nich nie jest także książka X. Kujota. Poruszamy tu kilka.

Najsłabszą stroną téj książki, powiedziałbym, są dokumenta, o autentyczności których autor jasnego wyobrażenia sobie dotąd nie wyrobił.

Dokument naprzykład Sambora I z dnia 1 kwietnia roku 1178 (w przekładzie mylnie 1170) umieszczony na str. 8—11 jest niewątpliwie podrobionym, choć mniemany oryginał znajduje się w archiwum królewieckiem. O powodach do tego sądu z treści dokumentu samego wynikających można poinformować się w Codex Pomeraniae diplomaticus Hasselbacha i Kosegartena str. 112—113, oraz w Scriptores rerum Prussicarum t. I, str. 669, przypisek 3. Że dokument jest podrobiony, dowodzi również forma jego zewnętrzna. Po świadkach bowiem następuje niezwykła wcale w dokumentach świeckich formułka: Presenti igitur carta per sigilli nostri impressionem predictam donacionem confirmamus, quatenus nulli in posterum eam infringere liceat. Sed quicunque hoc attemptauerit, a deo se dampnandum scias. Cunctis vero eidem loco sua iura servantibus et bona facientibus sit pax domini nostri Jesu Christi, quatenus et hic fructum bone actionis percipiant et apud districtum judicem premia eterna honore mereantur in celis. Amen.

Cały ten ustęp wyjęty jest nieomal dosłownie ze znanych bull papieskich. Nadmienić już nie potrzeba, że rzekomy oryginał nie posiada pieczęci.

Również nie wiemy, jak się rzecz ma z darowizną Sambora II; ogłoszony przez X. Kujota na str. 43—46 dokument nie ma końca, bo brak daty i reszty świadków; drugi dokument Sambora z tego dnia autor podaje tylko w streszczeniu a trzeci z tegoż dnia uważa autor sam za podrobiony. Wartoby jeszcze bliżej zastanowić się nad obydwoma pierwszymi dokumentami; nie taję bowiem, że względem pierwszego mam pewne wątpliwości.

---

[1]) Właśnie w Nr. 73 poznańskiej „Warty" rozpoczął. X. K. szczegółowy opis téj kroniki. (Przyp. Red).

Zwracam przy téj sposobności uwagę autora na to, że dawne dokumenta nie mają pieczęci w „blaszce“; blaszki takie pokazują się u nas dopiero w XVI i XVII wieku.

Również podrobionym jest, czego autor sam się domyśla, dokument Mestwina z 2go stycznia 1278 (sic) umieszczony na stronnicy 56 etc.; właściwy zaś oryginał wydrukował autor dopiero na str. 61.

Podrobionych przywilejów nie powinien był autor wcale ani umieścić w popularnej książce, bo tylko głowy mącą, ani uwzględnić; gdyby był to uczynił, wyniki jego historyczne zmodyfikowałyby się może cokolwiek.

Zwróciłem na to uwagę głównie dla tego, żeby autor w przyszłych swoich pracach, przy których przyjdzie mu opierać się przeważnie na dokumentach, w wyborze takowych nieco był ostrożniejszym.

Mylnie, mojem zdaniem, przetłumaczył autor na str. 9 wyrazy „decimam de Rezek“ przez „dziesięcinę z wyrzuconych przez morze na brzeg przedmiotów“, choć może się tu zasłonić powagą Bertholda: „Geschichte Pommerns“ II, 293 i Teodora Hirscha w „Scriptores rerum Prussicarum“ I, 672 przyp. 13. Ale ani ich wywody ani wywód wydawców „Codex Pomeraniae diplomaticus“ nie zdają mi się prawdziwymi. Ile znam aktykacyą dokumentów, jestem tego zdania, że przez Rezek, Redzk w tym razie zrozumieć można tylko miejscowość, którą jednak dopiero odszukać należy.

Wywody etymologiczne, które autor tu i owdzie daje, nie są przekonywające; język polski bowiem sam nie jest wystarczającym do objaśnienia wszystkich nazw miejscowych; trzeba w takim razie zaglądnąć do innych słowiańskich języków, do litewskiego, a nawet do sanskrytu. Tak np. objaśnia autor nazwę P e l p l i n w ten sposób, że ją rozkłada na „pole“ lub „pół“ a „płn“ resp. „pło“; ja zaś sądzę, że „in“ jest zakończeniem a pierwiastkiem „pepl“, bo tak mówi lud i taka forma znajduje się także w starych zapiskach. Pelplin jest formą zgermanizowaną jak dzisiejsze „Starogard“ z „Starogrodu“.

Względem opata Mikołaja Kostki mógłbym dodać, że „ex canonico Culmensi a Sacra Regia Maiestate Sigismundo III in abbatem nominatus“ został; pięć i pół roku był komendarzem pelplińskim; w r. 1597 bowiem dopiero „suscepit habitum regularem et sequenti anno 1598 die 10 Maii professionem sollennem emisit et anno 1599 in die sanitissimae trinitatis benedictionem abbatialem accepit Vladislaviae“ [1]).

Co się tyczy drugiéj części dzieła podającéj wiadomości gospodarcze i historyczne o dobrach i pojedynczych wioskach, to szkoda wielka, że rękopism „Opisanie folwarków, młynów, karczem, należących do przewielebnego konwentu peplińskiego (sic) spisanych y zlustrowanych in anno 1741 die 5 Junii, także y chałup należących do tegoż konwentu“ zaginął, jak się zdaje, bo autor zna tylko fragment (p. 365). Fragment tyczący się folwarku Spęgawy posiadam i tutaj w całości umieszczam:

„Opisanie folwarku Szpęgawy nazwanego in anno 1741 die 15 Junii spisanego, należącego do przewielebnego konwentu peplińskiego (sic). Sam budynek gospodarski wybudowany z drzewa w lepiankę krzyżową; wchodząc do izby, drzwi na zawiasach, hakach żelaznych, stolarską robotą z listwami, zamkiem, skoblami y klamkami żelaznemi y wrzeciądzami. Izba wielka o dwu oknach, w każdym po dwie kwatery; szyby w ołów oprawne, wszystkie całe, na zawiasach, hakach żelaznych y haczykami, do zamknięcia okiennicami z podwórza zasuwanemi y fensterkopamy.....“ [1]).

Tyle mielibyśmy do powiedzenia o pracy X. Kujota, którą serdecznie naszym ziomkom w Prusiech zachodnich, oraz wszystkim, których ów klasztor i stosunki Pomorza interesują, polecamy; mamy nadzieję, że autor w swych poszukiwaniach nie zatrzyma się, że nas jeszcze innemi tego rodzaju monografiami obdarzy, mianowicie monografią klasztoru kartuskiego w Kartuzach, o którym rękopism przeora Schwengla, znajdujący się w bibliotece peplińskiej, bardzo cenne zawiera materyały.

W. K.

Archeologia.

Dr. Lissauer: Beiträge zur westpreussischen Urgeschichte. Commissions-Verlag von Th. Anhuth in Danzig. 8vo. str. 18; tablic litografowanych VI. (Odbitka z 3go zeszytu III. tomu pism wydawanych przez Towarzystwo przyrodnicze w Gdańsku.)

224] Książeczka niniejsza nie zawiera żadnych badań historycznych, jakby sądzić można z tytułu: „Przyczynki „do dziejów pierwotnych Prus zachodnich“, lecz mieści w sobie trzy rozprawki archeologiczne o rozmaitych wykopaliskach w różnych okolicach Prus zachodnich lub raczej Pomorza odkrytych.

Pierwsza rozprawka zajmuje się urną bronzową wykopaną na polach wsi Münsterwalde pod Czerwińskiem niedaleko brzegów Wisły. (str. 3—7.)

Druga rozprawka opisuje szczegółowo groby przedchrześcijańskie znajdujące się na polu pana Żywca pod Oliwą, wioską znaną powszechnie z sławnego niegdyś klasztoru i opactwa (str. 8—16).

Trzecia rozprawka (str. 16 17) opisuje mogiły kamienne znajdujące się niedaleko źródła Czarnej wody, w lesie pod Odrami w obwodzie czerskim. Te mogiły składają się z pojedynczych kamieni, które koło stanowią, a w środku tego koła jest jeden cokolwiek większy kamień, pod którym jedna lub dwie stopy pod ziemią znajdują się szczątki spalone trupa, lecz bez urny. Autor porównywa te groby z t. z. kromlechami duńskimi i uważa je za najdawniejsze a w Prusach Zachodnich nadzwyczaj rzadkie zabytki odległych czasów pogańskich. Nie przeczymy, że mogą być bardzo dawnymi, lecz żeby były tak rzadkie na Pomorzu, jak autor twierdzi, przyznać nie możemy, bo sami na własne oczy widzieliśmy ich setki mianowicie w Kaszubach. Sądzę, że nie będzie od rzeczy, gdy zwrócę uwagę naszych archeologów i Akademii Umiejętności w Krakowie na jedno cmentarzysko obiecujące plony obfite, które mojem zdaniem wartoby było zbadać. W małym lasku należącym do Czarlina, wsi położonej w kartuskim powiecie na Pomorzu o dwie mile od Kościerzyny (Berent), będącej własnością pana Marcelego Borowskiego znajduje się kilkadziesiąt takich mogił okrągłych a pomiędzy niemi jest jedna, która wielkością swoją i kształtem odmiennym wzbudza zdumienie widza. Jest ona okrągła jak wszystkie inne; obwód jej, który przed laty zmierzyłem, wynosi 68 kroków; w środku zaś tego obwodu znajduje się, nie jak u drugich jeden kamień, lecz cała ich góra a każdy głaz tak wielki, że ledwie silny mężczyzna z miejsca ruszyć go może. W samym środku jest wklęsłość

[1]) Według Epitaphia Kostkana, które posiadam w rękopiśmie.

[1]) Na tem urywa się fragment, który posiadam.

regularna, co jest dowodem, że kamienie umyślnie tak ułożono. Właściciel ceni ilość tam nagromadzonych kamieni na 2000 fur.

Wracając znów do rozpraw Dr. Lissauera przyznać musimy, że jego opisy są bardzo dokładne i akuratne; widać, że jest nietylko amatorem, lecz także znawcą na tem polu. Sześć tablic dodanych do owych rozpraw objaśnia opisy i przedstawia nam kształty mogił i najpiękniejsze okazy z nich wykopane. Tak daleko jesteśmy w zupełnej zgodzie z szanownym panem autorem. Co się zaś tyczy jego wniosków historycznych wynikających niby z rezultatów jego poszukiwań archeologicznych, a mianowicie, że groby przez niego zwane Brandgruben, w których urny wolno stoją wśród ziemi a nie są otoczone sześciu, co zwykle ma miejsce, płytami kamiennemi [1]), że te groby, powiadam, pochodzić mają nie od Słowian, lecz od skandynawskich przybyszów z wyspy Bornholm — te wnioski wydają mi się bardzo wątpliwymi, zwłaszcza dla tego, że autor jak wszyscy inni Niemcy robiący poszukiwania na ziemiach teraz jeszcze lub niegdyś słowiańskich, ucieka się do porównywań tamtych wykopalisk z wykopaliskami skandynawskiemi, zamiast je porównać z innymi okazami znalezionymi w innych częściach Słowiańszczyzny lub Polski, a mianowicie ze zbiorami archeologicznymi, które posiadają Poznań, Warszawa, Kraków i Lwów. Że nasza literatura archeologiczna obecnie coraz bardziej zbogacająca się Dr. Lissauerowi, równie jak wszystkim innym niemieckim archeologom, zupełnie jest nieznana, tego nie potrzebujemy dopiero dowodzić, bo książka sama o tem przekonywa. *W. K.*

¹) Tego rodzaju groby nazywa autor Steinkistengräber.

Nauki prawne.

Dr. August Mieczkowski: O wekslu, jego istocie i przepisach prawnych, z dodaniem niemieckiego prawa wekslowego i licznych szematów. W Poznaniu. 1876. str. 95. 8vo.

225] Pod tytułem wiele bardzo obiecującym ogłosił autor czysto popularny wykład niemieckiego prawa wekslowego; o zapowiedzianej istocie wekslu nie ma zaś w całej książce nawet wzmianki. Rozbiór istoty wekslu nie wchodził wprawdzie w zakres zadania autora, który zamierzył pracą swą zapobiedz brakowi popularnie napisanéj nauki o wekslach (str. 2), lecz wobec tego wypadało nazwać książkę po właściwem nazwisku. Zawsze bowiem niemiłem jest rozczarowanie dla tego, kto sądząc po tytule spodziewa się odczytać rzecz naukowo opracowaną, a wziąwszy z zajęciem książkę do ręki, znachodzi wykład popularny. Tyle co do właściwego tytułu książki.

Od popularnego wykładu pewnej materyi prawnej, jak w ogóle od publikacyi tego rodzaju, wymaga się z jednej strony przedstawienia rzeczy tak jasnego i łatwego, iżby z niego mogli korzystać ci, którzy wcale nie są obeznani z odnośną gałęzią wiedzy; z drugiej strony przedstawienia rzeczy zupełnie zgodnie z prawdą, bo ci, dla których piszą się dzieła popularne, nie chcą i nie umieją sprawdzać tego, co autor napisał. Pod pierwszym względem musimy przyznać autorowi, że włada dobrze językiem popularnym, wyłożył bowiem prawo wekslowe stylem potoczystym i dla każdego zrozumiałym; natomiast pod drugim względem praca autora pozostawia wiele do życzenia. Autor bowiem występuje na niejednem miejscu z twierdzeniem, które albo wprost jest sprzeczne z ustawą, albo tak niedokładnie zdeterminowane, iż nieznającego prawa tylko w błąd wprowadzić może. Tak np. powiada autor (str. 21), że przyjęcie pisze się koniecznie na przedniéj stronie wekslu, gdy przeciwnie według art. 21 ustawy wekslowej ta konieczność wtedy tylko zachodzi, jeśli wskazany przyjmuje weksel przez napisanie jedynie swego nazwiska lub firmy bez żadnego dodatku. Ale autor zdaje się nie zrozumiał należycie tego artykułu, bo i w swem tłumaczeniu ustawy, umieszczonem na końcu książki, wypuścił zupełnie (art. 21. ost. ust.) stanowcze wyrazy „na przedniej stronie“. W podobnem zapewne znaczeniu utrzymuje także autor (str. 23), że indos pisze się na odwrotnej stronie wekslu, ustawa zaś (art. 12) wyznacza to miejsce przymusowo tylko dla indosu in blanco. Na stronie 27 utrzymuje autor, że założenie protestu z powodu nieprzyjęcia wekslu nie jest przymusowo-obowiązkowem; jest to niedokładnem, bo nie jest prawdą w tym wypadku, jeśli okaziciel wekslu chce wykazać prawo regresu przeciwko poprzednikom. Wszakże i protest z powodu nieotrzymanej zapłaty jest potrzebny tylko w celach regresu, a jednak autor powiada zaraz na str. 28, iż założenie tego protestu jest przymusowo-obowiązkowem, a znowu na str. 31 mówi o obowiązku przedstawienia wekslu do przyjęcia. Zresztą nie wypadało pominąć na tem miejscu zupełnem milczeniem, jak to autor uczynił, ważnych przepisów art. 19 i 24 ust. 2. — Na stronie 24 mówiąc o skutkach prawnych klauzuli „nie na zlecenie“, nie podniósł autor stanowczo tej różnicy, jaka zachodzi pomiędzy przepisem art. 9 a art. 15, lecz owszem przedstawił rzecz tak, iż z jego słów czytelnik wcale dowiedzieć się nie może, jak wielka różnica zachodzi co do skutków pomienionej klauzuli według tego, czy ją umieścił wystawca wekslu lub indosant; owszem każdy czytelnik może sądzić, że mimo tej klauzuli w każdym razie można ważnie dalej indosować weksel i jedynie zakazujący jest wolny od odpowiedzialności wobec późniejszych posiadaczy wekslu.

Błędnem (a przynajmniej łatwo w błąd wprowadzić mogącem) jest dalej twierdzenie autora (str. 28), że przy wekslu umiejscowionym w razie niezałożenia protestu z powodu nieotrzymanej zapłaty, gaśnie także zobowiązanie przyjemcy; bo art. 43 przepisuje to tylko dla tych weksli umiejscowionych, w których domicyliat jest wymieniony. Wprawdzie podnosi tę okoliczność autor na str. 40 sq., ale dodając zaraz (str. 41): „widzimy więc, iż przy wekslach domicyliowanych nietylko wystawiciel i żyranci wychodzą z odpowiedzialności w razie zaniedbania protestu, lecz również i akceptant“, staje tym ogólnikiem w sprzeczności z tem, co bezpośrednio przedtem powiedział. — Jeżeli autor powiada (str. 30), że ustawa dla założenia protestu z powodu nieprzyjęcia nie oznacza żadnego terminu, to wypadało przecież, aby zapobiedz błędnemu pojmowaniu tego przepisu, dodać, iż od tej reguły są ważne wyjątki (art. 18 ust. 2, art. 19, 20 i 24 ust. 2). — Podobnie może wobec przepisu art. 72 tylko w błąd wprowadzić wyrażenie się autora (str. 51), że właścicielowi kopii służy jedynie prawo żądania wydania oryginału.

Aby nie przedłużać nazbyt naszych uwag, pomijamy inne jeszcze niedokładności, jakie napotkaliśmy w pracy autora (np. ciasną definicyę wekslu przekazowego str. 7 — protestu str. 26) i podnosimy tę jeszcze okoliczność, iż w pomienionej książce nie spotkaliśmy wzmianki o niektórych takich przepisach ustawy wekslo-

wej, których znajomość właśnie dla biorących udział w obrocie wekslowym jest nader ważną. Jakkolwiek bowiem autor miał zamiar (str. 2) podać swoim czytelnikom tylko co ważniejsze przepisy ustawy wekslowej, to jednak niezawodnie należą do tej kategoryi także przepisy art. 14 ust. 2, art. 16, art. 84—86. Ostatnich artykułów nie należało się tem więcej pominąć, gdy sam autor zaraz we wstępie kładzie nacisk na to, że weksel główną rolę odgrywa w handlu zagranicznym. — Podobnie zaniedbał autor, mówiąc o wekslach fałszywych i sfałszowanych (str. 52 sq.), opisać ich znaczenie podług prawa wekslowego, a przecież to jest w wykładzie prawa wekslowego ważniejszem, jak wzmianka o karygodności tego rodzaju fałszerstw. — Czyż nie należało się wreszcie, mówiąc o zdolności do działań wekslowych (str. 61), powiedzieć cośkolwiek o znaczeniu podpisów, położonych przez osoby nie mające tej zdolności?

Tłumaczenie niemieckiej ustawy wekslowej, umieszczone przy końcu książki wraz z tekstem niemieckim, przekonywa, iż autor nie korzystał z innych tłumaczeń, jakich już kilka posiadamy, a szczególnie z tłumaczenia, dokonanego przez Zielińskiego (Bibl. warsz. za r. 1851. T. I). Gdyby to był uczynił, byłby się autor ustrzegł takich wyrażeń jak: „weksel nie d o z n a ł akceptu“ — „remitent n a b i e r a prawo“ — „weksel d o z n a zapłaty“ — „dni r e s p i t o w e“, tudzież używania naprzemian — aby oznaczyć indos — wyrazów „przekaz, żyro, indosament“; nadto nie byłby przetłumaczył niektórych artykułów zupełnie błędnie. Któż np. może poznać z art. 1. („Każdy, kto zobowiązywać się może za pomocą umowy, zdolny jest do w y s t a w i a n i a weksli“), iż w nim ustawa stanowi nietylko o zdolności do wystawiania weksli, ale w ogóle o zdolności do działań wekslowych. Albo kto się dowie z art. 4, iż wyraz „weksel“ ma być umieszczony w samym tekście wekslu, jeźli autor wyrazy „in den Wechsel“ przetłumaczył przez „n a wekslu“. Art. 27 ust. 1. w tłumaczeniu autora wyraża tożsamo coś odmiennego od tekstu autentycznego.

Z tego wszystkiego wynika, że książka autora pod wielu względami nie zdoła dobrze pouczyć o przepisach prawa wekslowego tych, dla których głównie jest napisaną.

L. P.

Matematyka.

Adolf Sągajło: Wykład zupełny algebry, skreślił podług najnowszych odkryć... Tom I. Początki algebry, str. 632 in 8vo (r. 1873). Tom II. Teorya wyznaczników i ich przedniejsze zastosowania str. 400. Paryż, 1874. Nakładem Właściciela Biblioteki Kornickiej.

226] Algebra p. Sągajły, która jak zapowiada autor, z czterech ma składać się tomów, stanowić będzie pierwszy w literaturze matematycznej polskiej obszerny traktat tej nauki zawierający algebrę niższą i wyższą.

Pierwszy tom składający się z dwudziestu siedmiu rozdziałów zawiera algebrę elementarną. Na końcu każdego prawie rozdziału znajdują się liczne i pięknie dobrane ćwiczenia, które wraz z wieloma zagadnieniami w tekście służącemi do wyjaśnienia wykładu, stanowią wedle nas najważniejszą zaletę tej książki. Z wielką starannością opracowaną jest także nauka o równaniach stopnia pierwszego i drugiego, a wykład odznacza się jasnością i przystępnością — tak, że wiele rozdziałów tej książki i początkujący z korzyścią czytać mogą. Zasługują też na uznanie przypiski historyczne, które napotykamy w wielu miejscach. Pozwolimy sobie jednak zrobić niektóre uwagi nad układem i treścią książki, jakie nasunęły się nam przy jej czytaniu. Przedewszystkiem zdaje się nam, że niektóre ustępy traktowane zbyt szczegółowo, inne znów za urywkowo. Tak np. teoryą logarytmów znajdujemy w rozdziale XXI. i następnie w XXVI.; wedle nas właściwiej byłoby teoryę logarytmów wyłożyć całą w jednym rozdziale, nie dzieląc, jak to zrobił autor teoryi tej na „teoryę elementarną“, opartą na nauce o postępach i drugą, w której logarytmy uważane są za wykładniki. Nie mamy nic przeciwko traktowaniu jednej rzeczy z dwóch różnych punktów widzenia; ale w książce podział taki nie zawsze jest właściwym. Pomimo obszernego dość wykładu nauki o logarytmach nie znajdujemy wzmianki o logarytmach Nepera.

Podobny zarzut stosuje się zdaniem naszem do wykładu teoryi największości i najmniejszości, którą autor opracował obszerniej niż należało, rzecz ta bowiem zajmuje cały rozdział XIX, str. (410—447) i część rozdziału XXIII. Cały nawet rozdział XXIII. przedstawił się nam w czytaniu, jakoby urywek większej jakiejś całości przypadkowo wstawiony między inne rozdziały; filozoficzne zaś uwagi o charakterze największości i najmniejszości wyjęte z geometryi analitycznej Augusta Comte'a nie są naszem zdaniem odpowiedniemi w wykładzie początków algebry.

Żałować także wypada, że autor opuścił zupełnie w książce swej naukę o równaniach nieoznaczonych i o ułamkach ciągłych, co w odpowiednim zakresie wyłożone znajdować się winno w książce elementarnej. Po macoszemu także obszedł się z dwumianem Newtona, wyprowadzając wzór ten tylko dla potęg całkowitych dodatnych. Pojmujemy wprawdzie, iż ze względu na to, że dla kompletnego wykładu dwumianu Newtona potrzebne są wiadomości z nauki o szeregach nieskończonych, autor musiałby tym ostatnim poświęcić rozdział swego dzieła, który zapewne znajdzie miejsce dopiero w jednym z następnych tomów — ale zdaniem naszem całkowita rzecz o dwumianie Newtona należy dziś do elementów i należało ją traktować choćby w ten sposób, w jaki to robi Baltzer w wybornem dziele: *Elemente der Mathematik.* Zbyt pobieżnie jest traktowaną także rzecz o ilościach urojonych.

Pozostaje nam powiedzieć jeszcze słówko o cytatach, do których autor zdaje się posiada szczególne zamiłowanie. Pod tym względem gorliwość autora niezawsze wyszła na dobre. Cytaty są często bardzo pożądane, ale w dziele elementarnem, gdy są zbyt obszerne, przerywają bieg myśli, zwłaszcza, że je autor pomieszcza w samym tekście, i że często trudno uchwycić związek z poprzedniemi ustępami rozumowania. Tak np. na str. 277 autor dowiódłszy twierdzenia, że kwadrat sumy dwóch kwadratów jest także sumą dwóch kwadratów, daje zaraz potem określenie algebry wyższej, o której poprzednio nic nie mówił — określenie Poinsot'a, które na czytelniku nieobeznanym z całą nauką, sprawić może wrażenie wprost przeciwne życzeniu autora. Szkoda także, że piękne ćwiczenia nie są ułożone dość systematycznie, tak, jak w książce wykładowej być powinno.

Streszczając zdanie nasze o tym tomie, powiemy, że książka ta bezwątpienia jest pożyteczną — ale byłaby wiele zyskać mogła, gdyby układ jej części był systematyczniejszym. W każdym razie autorowi należy się prawdziwe uznanie za sumienną pracę, jakiej całe dzieło niezbite daje dowody.

Tom IIgi rozpoczynający Algebrę wyższą, jest przekładem znanego dzieła Salmona: *Lessons introductory to the modern Algebra,* dzieła niezaprzeczenie wielkiej wartości, które jednak, zdaniem naszem, autor niewłaściwie uważa za ciąg dalszy początków algebry. Sposób traktowania przedmiotu w dziele Salmona, wymaga ze strony czytelnika daleko więcej wiadomości z algebry nad te, których mógł nabyć z tomu pierwszego, nie mówiąc już o wielu innych wiadomościach z analizy wyższej. Jakkolwiek więc szczerze wdzięczni jesteśmy panu Sągajle za przekład na język polski klasycznego dzieła, z drugiej jednak strony żałujemy, że przez włączenie lekcyj Salmona do „Wykładu Algebry", ten ostatni wiele ucierpiał na niezbędnej w Wykładach jednolitości i porządku.

Na końcu drugiego tomu znajdują się dwie noty: 1sza p. A. M.: „O różniczkowaniu użytem przy rozwi- „janiu funkcyj na szeregi Bürmana, Lagrange'a i Wroń- „skiego"; 2ga stanowi przekład znanego artykułu prof. Cayley'a „o twierdzeniu Wrońskiego".

Język w obu książkach jest poprawny; nie zgadzamy się jednak na takie wyrażenia pisać wciąż liczby (zam. dopisać do liczby), radykał (zam. ilość pierwiastkowa), przyrządzić strony równania (zam. przekształcić). Jakobiowy i Hessowy przymiotniki w znaczeniu rzeczowników zamiast: wyznacznik Jacobiego, Hessego (lepiej już mówić: Jakobian, Hessyan). Należało w końcu drugiego tomu podać spis omyłek drukarskich, które spotykają się np. na str. 19 w przykładzie IIgim, str. 20 (kolumna zam. wiersz), str. 32ej $3a^2$ zam. $3a^3$ itd.

Dn.

Nauki przyrodnicze.

Dr. Ed. Janczewski: O rurkach sitkowych w korzeniu roślin okrytoziarnowych. Sprawozd. Wydz. matem.-przyr. Akad. Umiej. w Krakowie, tom I., i w osobnéj odbitce str. 12, 8-vo z 1 tablicą. 1874.

227] Przy badaniach nad wzrostem wierzchołkowym korzeni, zauważył autor rzecz nową, dotąd nieznaną, a mianowicie: rurki sitkowe, które się wytwarzają w pierwotnéj tkance walca środkowego daleko wcześniej od pierwszych naczyń śrubowych. Wspomina on, że równocześnie de Bary doszedł do zupełnie podobnego wypadku, lecz nic o tem jeszcze drukiem nie ogłosił.

U Osoki aloesowej *(Stratiotes aloides)* opisuje autor szczegółowo miejsce, sposób powstawania i kształt tych pierwotnych rurek sitkowych, z naczyniami naprzemianległych. Następnie zaś porównywa otrzymane u osoki wypadki z rezultatami tyczącemi się innych dziesięciu roślin jedno i dwulistniowych.

Z rezultatów tych widzimy, że rurki sitkowe stanowią niekiedy jedyne składniki łykowe w pierwotnéj tkance korzenia, a mianowicie w walcu środkowym, i że miejsce, gdzie powstają te rurki i sam ich rozwój, są u wszystkich roślin ziarnowych podobne.

Charakterystyczne te rurki sitkowe znalezione zostały w korzeniu wszystkich badanych przez autora roślin okrytoziarnowych, z wyjątkiem tych, gdzie walec środkowy składa się z jednego naczynia otoczonego samą tylko warstwą korzonkorodną. W korzeniach roślin nagoziarnowych autor nie znalazł nigdy podobnych rurek sitkowych, uważa więc ich obecność lub nieobecność jako stałą cechę anatomiczną, różniącą korzenie roślin nago i okrytoziarnowych. *S. K.*

Dr. E. Godlewski. O powstawaniu i znikaniu skrobi w gałeczkach zieleni. Odbitka z II tomu Sprawzdań wydziału mat. przyrod. Akad. Umiejętności w Krakowie 1875. 8-vo, 54 str. z 1 tablicą.

228] Trudno nie dostrzedz tego pocieszającego objawu w naszém piśmiennictwie, iż liczba prac odnoszących się do nauk ścisłych, a ogłaszanych w naszym języku, wzrasta bardzo znacznie od pewnego czasu. Jeżeli z jednéj strony jest to niezbitym dowodem, iż liczba pracowników na tem polu się pomnaża, to znowu z drugiéj strony nie można w tym względzie nie uznać wpływu Akademii Umiejętności i Towarzystwa nauk ścisłych, które stawiają autorów w możności ogłaszania swych prac we własnym języku, i tem się bardzo przyczyniają do rozwoju naszego wyrazownictwa naukowego.

Z prawdziwą przyjemnością przychodzi nam zaznaczyć ukazanie się rozprawy p. G., która podobnież jak wszystkie prace tegoż autora, odznacza się jak metodą doświadczeń, tak też i wartością rezultatów dla postępu Fiziologii roślinnej. Wprawdzie niektóre wyniki téj pracy już były nam znane z artykułu p. G. umieszczonego w r. 1873 w ratysbońskiem czasopiśmie botanicznem p. t. „Flora", lecz to bynajmniéj nie ujmuje uroku świeżości niniejszej rozprawie z tego powodu, iż tameśmy mieli tylko zwięzłe streszczenie i to zaledwie jednej połowy doświadczeń autora. Pracę przeto obecną musimy uważać jako rzecz zupełnie nową i rozpatrzyć teraz co ona zawiera.

Na pierwszych 7 stronnicach rozbiera autor literaturę odnoszącą się do kwestyi stosunku powstawania skrobi z przyswajaniem i mniemania o niej panujące obecnie w nauce. Następnie na str 8—21 mamy opis doświadczeń p. G. nad znikaniem skrobi w roślinach wystawionych na światło w atmosferze pozbawionej kwasu węglowego. Daléj na str. 21—44 znajdujemy doświadczenia i wyniki odnoszące się do wpływu ilości kwasu węglowego na szybkość tworzenia się skrobi: kończy zaś autor swoją rozprawę uwagami polemicznemi, w których zbija zapatrywania Liebiga, Rochledera, a szczególniéj Boehma na powstawanie skrobi.

Jedną z najważniejszych zasług Sachsa dla fiziologii roślinnej jest wykrycie tego prawa, iż zieleń pod wpływem światła wytwarza skrobię z połączeń nieorganicznych wody i kwasu węglowego, przy którym to procesie tlen się uwalnia, według wzoru:

$$6CO^2 + 5H^2O = C^6H^{10}O^5 + 6O^2$$

Ten wniosek oparł Sachs na tem spostrzeżeniu, że warunki przyswajania są te same co i przy tworzeniu się skrobi, tj. że obie te czynności odbywają się tylko na świetle, a w ciemności miejsca nie mają. Sachs więc nie przytoczył żadnego bezpośredniego dowodu na poparcie swego twierdzenia; ten został dopiero wskazanym przez doświadczenia p. G. Autor usunął dostęp kwasu węglowego do roślin skrobię zawierających, lecz wystawionych na działanie światła. Przyswajanie przeto nie mogło mieć miejsca, a skrobia w tych warunkach nietylko się w liściach nie tworzyła, lecz nawet znikała szybciej niż w ciemności, tj. była odprowadzaną z liści do łodygi i korzeni.

Druga część pracy p. G. traktuje o wpływie ilości kwasu węglowego w powietrzu zawartego na szybkość tworzenia się skrobi, a doświadczenia jego dowodzą, że wpływ dodania kwasu węglowego do powietrza otaczającego roślinę tem jest widoczniejszy, im światło silniejsze, i że przy bezpośredniem oświeceniu przez słońce skrobia

cztery razy prędzej się wytwarza w atmosferze zawierającej kilka odsetek kwasu węglowego, niżeli w zwyczajnem powietrzu.

Takie to są główne rezultaty doświadczeń autora, do których dodać należy i to spostrzeżenie, że rośliny pozbawione możności przyswajania, wskutek usunięcia kwasu węglowego, na świetle wcale nie wyciekają. Ten fakt obala istniejące teoyre o przyczynie wyciekłości *(étiolement)* i dowodzi, że tej przyczyny szukać trzeba nie w braku materyału budowniczego koniecznego do rozwoju organów roślinnych, lecz w bezpośrednim, czy też innym pośrednim wpływie światła na kształt rośliny.

Jeżeli teraz zważymy wartość rezultatów autora opartych na bardzo zręcznie i dokładnie urządzonych doświadczeniach, to sąd nasz o pracy p. G. wypaść musi nader pochlebnie. Ta praca nie tylko bardzo jest cennym nabytkiem dla naszego piśmiennictwa botanicznego, ale także nie małe ma znaczenie dla fiziologii roślinnej, ponieważ w niej po raz pierwszy dowiódł p. G. na drodze doświadczalnej jednego z zasadniczych praw fiziologicznych, a poszukiwaniom nad wyciekłością roślin zupełnie nowe wskazał drogi. *E. J.*

Nauki lekarskie.

Dr. E. Sawicki: O publicznej opiece nad obłąkanymi i zakładach psychiatrycznych. Sprawozdanie z podróży naukowej w r. 1875 odbytej. Lwów. 1875, nakładem autora, str. 27 i 147.

229] Autor otrzymawszy od Wydziału Krajowego subwencyą, podjął podróż naukową celem rozpatrzenia się zagranicą w urządzeniach zakładów psychiatrycznych, a powróciwszy zdał sprawę z doświadczeń swoich naprzód w tow. lekars. lwowskiem, a następnie przedłożył Wydziałowi pracę swoją „na pożytek publicznej opieki nad obłąkanymi w naszym kraju". Tym sposobem powstała książka, o której mowa.

Rozpada ona się na 2 części: pierwsza ogólna mieści w sobie wykład miany przez autora w tow. lekarskiem, a który spisany „według stenogramów", omawia postępy badań z zakresu anatomii, fizyologii i patologii ośrodków nerwowych, jakoteż uwagi naukowe o zakładach, które widział; część druga szczegółowa ma napis ten sam co cała książka i obejmuje właściwe sprawozdanie Wydziałowi Krajowemu przez autora przedłożone. Już z podziału wynika, że autor po napisaniu tego sprawozdania przyczepił do niego wykład swój, który traktuje prawie ten sam przedmiot co część druga, i poprzednio już był drukiem ogłoszony i dlatego też w obecnem wydaniu osobną ma paginacyą. Zwiększyła się przezto objętość dziełka, rzecz sama mało co zyskała, a ucierpiały znacznie forma zewnętrzna i rozkład przedmiotu.

Jakkolwiek myli się szan. autor twierdząc, „że piśmiennictwo lekarskie nasze nie posiada żadnych rozpraw psychiatrycznych o publicznej opiece nad obłąkanymi i o instytucyach odnośnych, które z niej wynikają", to przecież praca jego zasłużyłaby na wdzięczne uznanie, gdyby był dołożył nieco więcej starania koło opracowania i zastosowania wszystkiego tego, co widzieć miał zręczność podczas swej acz krótkiej i spiesznej podróży po krajach środkowej i zachodniej Europy. Pracę Dra S. zdradza jednak na każdej prawie stronnicy właściwy wielu tegoczesnym pisarzom pośpiech, który nie dozwala nawet przejrzeć i poprawić niezliczone błędy drukarskie, pomijając już brak troskliwości o jednolite przedstawienie rzeczy, o poprawność języka, pisowni itd. To też całe dziełko nosi na sobie znamię pośpiechu i przedstawia się raczej podobnem do dyaryusza spisanego przezeń na prędce z wrażeń podróży odbytej szybkością pary, aniżeli do gruntownej pracy naukowej.

Na tem zdaniu moglibyśmy poprzestać; jednak aby usprawiedliwić się z naszego sądu, zastanowimy się nieco bliżej nad pracą Dr. S.

W 1szej części autor przenosi się ze Lwowa wprost — do Londynu i wprowadza nas ze sobą do zgromadzenia towarzystwa królewskiego (Royal Society — w pośpiechu zapomina widocznie wytłomaczyć nam do jakiego?). W towarzystwie tem nie słyszymy wprawdzie uczonych rozpraw psychiatrycznych, ale oglądamy rozmaite przyrządy, które tam są wystawione; nie odnoszą się one wprawdzie do psychiatryi, ale nie zawadza przecież poznać i radiometry, astrometry, polaryskopy, przyrządy do robienia powrozów i drutu żelaznego, modele okrętów, bazalty, piękne fotografie i nieznany nam oczywiście medal bity na pamiątkę wojny — z Aszantami. Z Royal Society prowadzi droga wprost do pracowni prof. Maynerta — we Wiedniu i do prof. Guddena w Monachium; po krótkim przestanku wracamy jednak na chwilę do Londynu, ztąd znów do Niemiec, gdzie podróżujący „zastał przy pracy" prof. Westphala i innych (czyż mniemał, że próżnują?), wreszcie dostajemy się do Paryża, gdzie autor zrobił odkrycie, „że niekoniecznie potrzeba być profesorem, mieć klinikę „i słuchaczów, ażeby napisać pożyteczne i gruntowne „dzieło lekarskie". Po tych męczących wycieczkach autor daje pogląd naukowy na zakłady angielskie, belgijskie, holenderskie i niemieckie, który jednak nie zawiera żadnej myśli nowej. Najdłużej zatrzymuje się nad zakładami paryskiemi *Salpetrerie* i *Bicêtr* (kto zakłady te zwiedził, powinien pisać je Salpetrière i Bicêtre); na widok nieszczęśliwych tamże umieszczonych odzywa się w autorze żyłka poetycka, zapożycza się jednak w kreśleniu obrazu matki obłąkanej, która kawałek drzewa tuli do łona, mieniąc go dzieckiem swojem, u Kaulbacha, który znów zapożyczył się u Szekspira, — a więc znów obraz wcale nie nowy. W ogóle cały pogląd naukowy jest bardzo pobieżny, nie pouczający dla lekarza, który nie zna psychiatryi, a zbyteczny dla specyalisty.

Część druga, obejmująca właściwe sprawozdanie, mogłaby mieć rzeczywiste znaczenie praktyczne dla lekarzy nieobznajomionych z psychiatryą, gdyż opisy zakładów, które autor zwiedził, są wyczerpujące, a liczne tablice uzupełniają należycie położenie i rozkład poszczególnych budynków, — gdyby autor nie był znów uważał za potrzebne zapuszczać się w refleksye ogólne i wywody naukowe, które po części niejasnością swoją, a głównie zbytecznością niemiłe czynią wrażenie. I tak mówiąc o powodach publicznej opieki nad obłąkanymi, wspomina o wpływie osób obłąkanych na społeczeństwo, przytaczając jako dowód działanie Banasia, które przecież miało bardzo ograniczone znaczenie miejscowe i bezpośrednio potem przechodzi do Mahometa i Lutra, którzy „cierpieli omamy zmy-„słowe, które wywołały w nich to przekonanie, że mają „stosunki z nadprzyrodzonymi osobami"; zdanie to przynajmniej co do Lutra jest całkiem mylne, bo jeżeli zoczywszy szatana pokropił go inkaustem, to okoliczność ta dowodzi tylko, że doznał halucynacyi i takową uważał za rzeczywistą, ale nie wierzył on nigdy w stosunki z osobami nadprzyrodzonemi a przynajmniej wiara ta nie wpłynęła wcale na wystąpienie jego przeciw Papiestwu. Następnie autor twierdzi, że „Juliusz Cezar i Napoleon I. cierpieli padaczkę,

„która mogła wywołać w nich umysłowe rozdra-„źnienie, pokryte ich władzą, znaczeniem i wykształ-„ceniem“, że „J. J. Rousseau cierpiał szałowy roz-„strój uczuć (co to znaczy?), który jego pi-„smom nadał tę gorycz chorobową, jaką się „odznaczają“. Niedosyć na tem, że autor mężów tych pierwszorzędnych posądza, że mają „bzika“, ale wypowiada następnie zdanie ogólnikowe: „Stan umysłowy osób „obłąkanych nietylko wyrządza szkody w zabobonnej „ludności, lecz zapomocą uczonych pism może „wywołać w młodzieży czytającej itd. wypa-„czenie pojęć, dążności i obyczajów“. Szkoda wielka, że nam szan. autor nie wymienił owych pism uczonych za pomocą których obłąkani takie szkody wyrządzili!

Przechodząc do „warunków skutecznej opieki“, najniepotrzebniej autor podaje życiorys Pinela, chyba dla zwrócenia uwagi, że wielki ten psychiatryk oddawał się za młodu studyom teologicznym. Mówiąc o statystyce obłąkanych, radzi dołączyć do niej statystykę pijaków, nierządnic, samobójstw i zbrodni, a następnie całą rzeszę niewykształconych i obyczajowo zdziczałych, „ponieważ „rzuca to niemałe światło na pozornie pomyślny stosunek „zdrowia umysłowego ludności. Jeżeli bowiem do „słabych władz umysłowych tylko najskro-„mniejsze stawiamy wymagania, słabość ta-„kowych, bynajmniej nie wystąpi wyraźnie“. Nie wątpimy wcale, że statystyka w ten sposób zastosowana wykaże ogromną liczbę obłąkanych w każdym kraju, ale do czegoż to wszystko ma doprowadzić?

Po szkicu historycznym rozwoju opieki pubicznej w rozmaitych krajach począwszy od Turcyi aż do Galicyi, opracowanym na podstawie rozmaitych dzieł i czasopism, następuje dopiero sprawozdanie o stanie zakładów, które autor zwiedził, poprzedzone ogólnemi objaśnieniami odnoszącemi się do urządzenia rozmaitych zakładów dla obłąkanych. Objaśnienia te są prawdziwie jasnemi, bo też wcale niezawikłanemi są kwestye, których się dotyczą, jak np. co rozumieć należy przez zakład publiczny, co przez prywatny, co przez otwarty, a co przez zamknięty itd. Zapóźno jednak sprzeciwia się szan. autor, „jak najmocniej „takiej dziwaczności jak np. wieża wiedeńska dla obłą-„kanych“, skoro wieża ta już od lat wielu jest zamknięta.

Natomiast sprawozdanie właściwe jest wyczerpującem i byłoby cennym nabytkiem dla piśmiennictwa naszego, zwłaszcza, że obejmuje także opis zakładu krajowego w Kulparkowie, a wskazówką dla lekarzy młodszych, pragnących zapoznać się z zakładami psychiatrycznemi, gdyby nie błędy drukarskie, których doliczyć się nie można, a które zwłaszcza co do nazwisk lekarzy, zakładów i stowarzyszeń obcych mogą w błąd wprowadzić nieobeznanego z literaturą. (Tak np. zakłady Salpetrière i Bicêtre każdą razą inaczej, nigdy jednak poprawnie nie są wypisane; annuair zamiast annuaire; annuales zamiast annales; la médecin mental zamiast la médecine mentale; Dolft zam. Delft; Rouseau zam. Rousseau; Limacy zam. Lunacy; repport, raport lub rapport zam. report; Societe zam. Società; code civile zam. code civil; bulutine zam. bulletin; navel (pępek) zam. naval (marynarski); prof. Gudden, zamiast Gudden; Trackt zamiast Tract; Epiney zam. Epinay; Bruge zam. Bruges; London Brigd zam. L. Bridge i wiele podobnych.) Sądzimy zaś, że jest obowiązkiem pisarza niewładającego obcemi językami, aby postarał się o wierne oddanie wyrazów obcych, albo takowych zgoła unikał. Czyż bowiem nie jest raczej obałamucającym, aniżeli pouczającym ustęp taki, jaki znachodzimy na str. 22: „W roku 1811 zaprowadzono (w Ho-„landyi) francuski *code civile*, który normuje sprawę tylko „nieuleczalnych obłąkanych, ich wyżywienie i wywoła-„nie *(interdykt)*“. Gdyby autor przed napisaniem tego ustępu był wziął do ręki code civil w oryginale lub w tłomaczeniu polskiem Rzesińskiego, byłby nabrał przekonania, że w artykułach jego 489—512 nie ma wcale mowy o wywołaniu obłąkanych, lecz o pozbawieniu ich własnej woli czyli rozrządzalności.

Nieusprawiedliwiony niczem pośpiech, którego liczne dowody na każdej stronicy znajdujemy, odnosi się nietylko do przedmiotu samego i wyrazów obcych, ale nawet i do składni i pisowni polskiej; cóż np. powiedzieć mamy o takiem wyrażaniu się jak: „aetiologiczne momenta“, albo „Austrya niższa i wyższa (zamiast dolna i górna)“, „pisarz tej książki“, lub o pisowni, jak: „w Gandavie „(Gent)“. Celuje autor wreszcie w nazywaniu miast, tak np. pisze: „w Brünn (zam. w Bernie)“, „w Leibach“ (a należało pisać albo po polsku: Lublana, albo po niemiecku Laibach), „w Linc“; wymieniając powiaty galicyjskie pisze: „powiaty: Biała, Bircza, Bochnia, Krakowski, „Krosno, Łańcut, Lwowski, Limanowa itd.“. Francuskie miasto Sarreguemines zowie według urzędowej nemenklatury pruskiej Saargemünd, a jeżeli tu uznaje fakt dokonany, jakiem prawem nazywa Opawę Tropawą (na str. 45 dwa razy, a więc umyślnie), skoro Niemcy sami nazywając dotąd rzekę przerzynającą miasto Oppą, tem samem przyznają, że miano słowiańskie jest bardziej uzasadnionem, aniżeli niemieckie“.

Spodziewamy się, że antologia ta wystarczy na usprawiedliwienie sądu naszego na wstępie wyrażonego, i że każdy przyzna, iż praca Dra S. nieco zawcześnie ujrzała światło dzienne. Nie liczymy się do bezwzględnych wielbicieli zasady: nonum prematur in annum, ale przypomnieć ją czasem nie zawadzi. *L. B.*

P. Sakowski. Jaboranda, jako lek napotny i naślinny. Z Kliniki chorób wewnętrznych prof. Dr. Korczyńskiego w Krakowie. „Przegląd Lekarski“ Nr. 25—34 z r. 1875.

230] Za czasów prof. Dietla i Gilewskiego zasilali asystenci kliniki lekarskiej czasopisma lekarskie a przedewszystkiem „Przegląd Lekarski“ rozprawami naukowemi i opisami przypadków chorobowych w klinice dostrzeganych. Nigdy jednakże nie pojawiła się z tej kliniki praca ucznia. Rozprawa p. Sakowskiego jest więc pierwszą pracą naukową z kliniki lekarskiej naszego uniwersytetu publikowaną przez ucznia, którą z tego powodu tem chętniej witamy, uważając ją jako zapowiedź prac dalszych.

Autor wziął sobie za zadanie zbadać działanie fizjologiczne i lecznicze nowego środka lekarskiego zwanego jaborandą (jaborandi), zaleconego przez Dra Continha w r. 1874 jako lek napotny i naślinny. Poprzedziwszy swą pracę krótkiem lecz treściwem zebraniem wyników dotychczasowych doświadczeń z tym lekiem, przytacza autor szereg 40 doświadczeń własnych, przedsiębranych w klinice prof. Korczyńskiego na ludziach zdrowych i dotkniętych rozmaitemi niemocami, i opisuje szczegółowo z uwzględnieniem tętna, ciepłoty, liczby oddechów, i ilości śliny i potu, objawów podmiotowych, przypadków ubocznych i wpływu na chorobę. Zestawiwszy razem wyniki pojedynczych doświadczeń, omawia autor wpływ środka tego na pojedyncze narządy i dochodzi ostatecznie do wniosków, że jaboranda jest dzielnym środkiem naślinnym, a znacznie słabszym i niepewnym napotnym, że nie da się zastoso-

wać jako ogólny środek napotny, że należy używać tego leku ostrożnie, nakoniec, że zbyt wysoka cena nie odpowiada jego wartości leczniczej.

Tłomaczenie sposobu działania jaborandy popiera autor głównie zmianami w jakości tętna, i wywodzi pot i ślinienie z porażenia nerwu współczulnego. Przyznać należy, że rozumowanie autora pod tym względem jest bardzo loiczne, wnioski bardzo ponętne, jednakowoż nie można zataić, że nie uwzględnia on należycie przyśpieszenia tętna, które stale zauważa się po podaniu jaborandy.

Zresztą praca cała jest bardzo dokładną i sumienną, wolną od uprzedzeń; zrobić jej można tylko ten zarzut, że jest za obszerna dla dziennika lekarskiego, który wychodząc raz w tydzień w objętości arkusza, musiał ją rozłożyć aż na 9 Nrów. — Rozprawa ta została uwieńczoną nagrodą Tow. lekarskiego Krakowskiego. *L. B.*

Dr. J. Czerwiński, Director der Thermotherapeutischen (Wasserheil-) Anstalt, nächst der Wien-Triester Bahnstation Kapfenberg (Steinerhof) in Steirmark: **Compendium der Thermotharepie (Wasserkur).** Wien. 1876. Duża 8ka str. 175.

231] Nauka lekarska jest wyłącznie przyrodniczą i jako taka winna używać do swych celów tylko metod ścisłych, ścisłym też językiem tłomaczyć się ze swych postrzeżeń i doświadczeń, jeżeli ma w rzędzie innych umiejętności również przyrodniczych zająć to miejsce, które się jej ze względu na wielkie znaczenie dla człowieka słusznie należy.

I terapia jako gałąź medycyny iść winna tą drogą i zawsze, lubo oparta na empiryi, trzymać się ściśle naukowych badań a wystrzegać wszelkich wybryków fantazyi i uprzedzeń.

Temi zdaniami na wstępie uważaliśmy za potrzebne opatrzyć kilka uwag nad dziełkiem dr. C., które jakkolwiek wiele cennych mieści w sobie szczegółów, ostatecznie sprawie, o którą chodzi, więcej szkodzi niż pomaga.

Nauka o leczeniu wodą jest jako nauka nową, i nie zajęła w terapii żadnego jeszcze pewnego stanowiska; jeżeli zatem chodzi o zdobycie dla niej w nauce odpowiedniego miejsca, które jej się słusznie zresztą należy, trzeba postępować ostrożnie i nie czczą polemiką, nie grą wyrazów, lecz ścisłemi oświadczeniami i umiejętnymi dowodami dążyć do celu.

Jak z tytułu domyślaćby się trzeba, dziełko dra C. miało być podręcznikiem nauki o zastosowaniu wody do terapii. Zobaczmyż, o ile treść nazwie odpowiada. Naprzód na kilkunastu stronicach rozwodzi się autor długo i szeroko nad mianem i proponuje ostatecznie, by leczenia wodą nie nazywać jak dotąd hidropatyą lecz termoterapią. Nam się wydaje naprzód, iż nazwa rzeczy nie zmienia, powtóre, iż w leczeniu wodą wszystkie jej przymioty mieć mogą znaczenie; więc wyraz dawniejszy lepiej rzecz maluje, bo obejmuje całość. W następnej części przytacza autor swe zdanie o pracach poprzedników i usprawiedliwiając się, dlaczego wziął się do napisania praktycznego podręcznika do terapii, wpada w oratorski zapał, a rzucając słowy na wszystkie strony, polemizując z innymi hydroterapeutami przychodzi do wniosków oddawna znanych jak np. że lekarz jest dla chorych, a nie chorzy dla lekarza, że obok wody jest jeszcze wiele innych leków skutecznych itp., wniosków dla lekarza zbytecznych, a dla profana niepotrzebnych.

Po tak wielkim wstępie do małego dzieła, idzie ogólne uzasadnienie termoterapii i to fizyologiczne. Co tu autor pisze, usuwa się po największej części z pod wszelkiej krytyki naukowej; jestto gmatwanina twierdzeń newrofizyologicznych, z wybrykami wyobraźni: tak np. na str. 46 czytamy, że tkanina spreżysta pęcherzyków płucnych posiada prawdopodobnie gładkie włókna mięsne, na str. 51, że siła tkwiąca w układzie nerwowym jest fizyczną i jednego rodzaju (gleichartig) z elektrycznością, na str. 64, że pod wpływem leczenia wodą powiększa się zawsze siła elektromotoryczna nerwów i. t. p.

Z tak niefortunnego działu fizyologicznego dostajemy się do farmakologii termicznej, a jakkolwiek i tu nie zawsze możnaby się zgodzić z szanownym autorem, widać przecież, iż twierdzenia jego opierają na spostrzeżeniach wprawdzie nie bardzo ścisłych, lecz przynajmniej własnych i że autor ma wiele na tem polu doświadczenia.

Na wstępie do wskazań czytamy twierdzenie a raczej poufne wyznanie, iż we wszystkich ostrych chorobach termoterapia należycie zastosowana ma tak wielkie znaczenie, iż pod jej wpływem całe rozdziały patologii będą musiały gruntownej uledz zmianie!!! Nim ten straszliwy kataklizm nastąpi, poprzestaniemy tylko na wskazaniu sz. autorowi, iż jest mnóstwo chorób ostrych, jak odra, płonica, nieżyty ostre wielu narzędzi itd. nie wymagających przy zwyczajnym przebiegu prócz odpowiedniego zachowania się dyetycznego żadnego właściwego leczenia: czyż i na te choroby wyruszać trzeba z całym arsenałem „termoterapeutycznym“?

Na tem kończymy naszę krótką a bezstronną ocenę i przychodzimy do przekonania, iż treść dziełka dra C. nic odpowiada w zupełności tytułowi, iż jest to raczej rozprawa polemiczna, niż poważny wykład pewnej gałęzi terapii „gałęzi potrzebującej gruntownego i umiejętnego „obrobienia“. Jako praca naukowa nie ma ono znaczenia dla lekarza, a jako pismo szukające między profanami adeptów dla hydroterapii jest za obszerne. W każdym razie sądzimy, iż sz. autor lubo bezwątpienia w najlepszej chęci zbyt porywczo wziął się do rzeczy, a tem samem ściągnął na siebie, i może na nas wszystkich zarzut, iż mimo zdolności nie umiemy brać się do ścisłej naukowej pracy!

Druk i papier bardzo dobre; język w wielu miejscach niepoprawny. *..m..*

Dr. B. Lutostański: Zastosowanie wagi dziesiętnej (grammowej) do praktyki lekarskiej dla użytku lekarzy i aptekarzy (wraz z tabliczką zamiany wag do użytku podręcznego). Kraków. Nakładem Księgarni G. Gebethnera i Spółki, oraz Wydawnictwa dzieł katolickich. 1876, 8vo. str. 30 i 1 tablica.

232] Rozprawka ta, napisana z powodu zmiany dotychczasowych miar i wag lekarskich na dziesiętne zasługuje na uwagę lekarzy i aptekarzy. Autor przedstawia trudności, wynikające z prostej zamiany wartości arytmetycznych wagi lekarskiej austryackiej na gramową, które uniemożliwiają zapisywanie leków i wydawanie tychże w aptekach. W celu usunięcia owych trudności, autor wykazuje konieczność przyjęcia w praktyce lekarskiej pewnych zaokrągleń wartości gramowych wagi lekarskiej austryackiej, tudzież podaje w jaki sposób mają być układane przepisy lekarskie w duchu układu dziesiętnego. Rzecz cała jest umiejętnie przedstawiona; autor powołuje się na prace specyalistów prof. Bernatzika i Strumpfa. Załączona tabliczka do podręcznego użytku, oraz liczne przykłady zalecają tę książeczkę pod względem praktycznym.

Wykład jest jasny, a język poprawny. *E. K.*

Historya literatury.

Aleksander Tyszyński: Wizerunki polskie. Zbiór szkiców literackich. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala. 1875. str. 302. 8vo.

233] „Wizerunki polskie“ p. Tyszyńskiego podobne są do wszystkich prac jego krytycznych; uwydatnione są w nich cechy indywidualne pisarza lub utworu; ale cechy rodzajowe i plemienne pozostają w ukryciu. P. T. nie rozwija przed czytelnikami rysów epoki, tych szczegółów wewnętrznego i zewnętrznego jej życia, po których nieraz w lot poznajemy pisarza i sferę jego działalności. Metoda taka w rysowaniu postaci literackich wydaje oczywiście utwór suchy, jeżeli nie nudny; lecz zarazem ma i swe strony dodatnie, o których zapomnieć nie podobna. W skutek jej wpływu bowiem otrzymujemy mniej więcej dokładny portret pewnej osobistości, tak, że możemy sami wydać o nim sąd własny — jedynie na podstawie wpatrywania się weń; p. T. bowiem cieniuje swoje obrazy licznemi i dobrze dobranemi przytoczeniami.

Takich portretów dał nam p. T. 9, z których 7 (*Wincenty Kadłubek, Marcin Bielski, Szymonowicz, Starowolski, Drużbacka, Ludwik Kondratowicz, Wincenty Pol*) są czysto-indywidualne, 1 (*Wizerunek*, poemat Mikołaja Reja) przedstawia pojedynczy utwór autora, a 1 (*Komedya polska w XVIII wieku*) jest wprawdzie portretem zbiorowym, ale utworzonym podług metody dopiero co naszkicowanej tj. tak, że osobistości w skład jego wchodzące występują niezależnie jedna od drugiej.

Wizerunków tych nie będziem oceniali szczegółowo. Pod względem biograficznym i bibliograficznym nie przedstawiają one nic nowego; a to co za przyczynek do życiorysu Szymonowicza uważaćby można (91—96), obecnie w skutek pracy p. Bielowskiego traci swoje znaczenie. Natomiast należy zauważyć, że przytaczanie rozpraw monograficznych, odnoszących się do traktowanego pisarza, nie wszędzie jest dokładne, a co do nowszych (Kondratowicza, Pola) zupełnie prawie zaniedbane. I tak np. przy Kadłubku (11) nie wspomniano o 2 rozprawach p. Bielowskiego, przy Bielskim (38) nie wymieniono Nehringa, przy Reju (61) — Bełcikowskiego, Bema itd. Mówiąc o Starowolskim p. T. wyraża się niejasno, gdy twierdzi, że „do naszych prawie czasów żadne z pism Starowolskiego nie było przedrukowane“ (133), a nie wspomina, co przedrukował Turowski.

Portrety literackie p. T. najwięcej mają wagi pod względem krytycznym. Ocena talentu pisarskiego Wincentego Kadłubka, uwydatnienie jego cech charakterystycznych (obrazowość, podniosły nastrój, erudycya, myślenie spekulacyjne, skłonność do porównań) odznaczają się darem dostrzegania i niepospolitą trafnością. Sprawozdanie o Wizerunku Reja mniej nas zadawalnia; autor bowiem zanadto ukrywa stronę polemiczną tego utworu przeciw duchowieństwu katolickiemu a przez to osłabia znaczenie jednego z najważniejszych rysów charakterystycznych zarówno Reja jak i samego Wizerunku — jego działalność w sprawie reformy głównie za pomocą satyry. Prócz tego p. T. zbył zanadto ogólnikowo stosunek Wizerunku do „Zodiacus vitae“ Palingena. Trochę przesadą trąci przyznawanie Starowolskiemu geniuszu chociażby tylko *in nuce;* w każdym jednak razie zwrócenie uwagi publicznej na tego pisarza i obrona XVII wieku przeciw ogólnie rozpowszechnionej opinii jest istotną zasługą p. T-go. Obraz komedyi polskiej w XVIII wieku jest trafny — ale najwięcej ucierpiał (jako portret zbiorowy) na metodzie autora. Bez zarysu ówczesnych obyczajów, bez odmalowania wydatniejszych scen i skreślenia różnokierunkowych poglądów, niepodobna należycie zrozumieć zarówno naszej literatury w ogóle jak w szczególności komedyi w tem tak ruchliwem stuleciu.

Najobszerniejszym, najbardziej ożywionym i najlepszym jest wizerunek Ludwika Kondratowicza; nie dla tego, żebyśmy zgodzić się mieli na wszystkie sądy p. T. (nie podzielamy np. jego uwielbienia dla Stelli Fornariny, a chcielibyśmy więcej uwydatnić demokratyczną stronę w utworach Syrokomli itp.); ale dla tego, że p. T. odstąpiwszy trochę od swojej metody, więcej historycznie niż inne postać Kondratowicza obrobił. Ten też wizerunek jego nabrał krwi i ciała, i przedstawił nam nietylko autora ale i człowieka. — Żałujemy, że Wincenty Pol nie doznał losu Kondratowicza. Portret nakreślony pobieżnie nie uwydatnia niektórych bardzo ważnych rysów w charakterze człowieka, uczonego i poety. — O innych szkicach nie mamy w szczególności nic do nadmienienia; wykonane są one sumiennie, według metody ogólnej.

Styl „Wizerunków“ jak wszędzie u p. T-go oryginalny, który trzeba poznać samemu. — Wydanie odznacza się mnóstwem błędów; niekiedy przerwane są okresy, albo ustawione słowa bezładnie; bardzo często błędy korekty zarówno w polskich jak w cudzoziemskich wyrazach. W końcu nadmienić trzeba, że artykuły tu zawarte były już dawniej drukowane w czasopismach a większa część — są to wyjątki z wykładów „historyi literatury polskiej“ w b. Szkole Głównej; ztąd to niezrozumiałe powoływania (*jakeśmy widzieli, jakeśmy powiedzieli* itp.), których autor ze szkodą dzieła zapomniał usunąć jako nie mających żadnego znaczenia w tej publikacyi.

P. Ch.

L-wa J-go, Balladyna, trajedya Jul. Słowackiego. Uwagi nad istotą wewnętrznéj treści utworu. Toruń 1875. str. 68, 8 vo.

234] W ostatnich kilku latach mało wyszło z druku rozpraw literackich, któreby w tak wysokim stopniu były interesujące jak wymieniona, tem cenniejsza, że autor jej — jakby to z tajemniczego ukrywania nazwiska wnosić wypadało — nie należy do cechu literatów i krytyków z rzemiosła, którym czy to wskutek potrzeby czy zwyczaju nie mija ulla dies sine linea, lecz owszem długo swój pomysł obracał w głowie, przetrawiał i obrabiał zanim się zebrał ogłosić go publicznie. A ogłosił go dla tego jedynie, że uznał ważność, pożyteczność, potrzebę jego rozpowszechnienia. Dzieje tej rozprawy napomknięte we wstępie i cały sposób traktowania przedmiotu napełnić nas muszą uszanowaniem dla pisarza, co z taką powagą, skromnością i rozwagą bierze się do rzeczy, a z takiem przejęciem i zapałem mówi o poezyi, o narodowej sztuce.

Pomysł jest taki. Wszyscy się unoszą nad Balladyną; mało kto zdaje sobie z tego sprawę, a ci dwaj, co dotychczas spróbowali szczegółowo to uczynić i uwagami swemi podzielili się z publicznością, prof. Małecki i prof. hr. Tarnowski, rozbierają Balladynę, tylko jako dzieło sztuki, zastanawiają się nad charakterami, nad warunkami sceniczności i tragiczności, oceniają stronę naśladowniczą i stronę oryginalną — lecz obaj jak ognia unikają podkładania jakichkolwiek historyozoficznych idei pod postacie i pomysł Słowackiego.

Otóż autor rozprawy wbrew temu wszystkiemu uchwycił się właśnie myśli historyozoficznej i widzi w Bal-

ladynie nie prostą igraszkę fantazyi, „nie obraz tworzenia się różnych warstw w przedchrześcijańskiem polskiem społeczeństwie“ nawet nie zapatrywań filozoficznych poety na czynniki „spraw i kolei ludzkich“, tylko „słowo dziejów narodu“, filozofią naszej przesłości, „tragiczny obraz wewnętrznych dziejów naszego narodu, obraz fatalnej dla nas walki społecznych żywiołów“.

Według tej hipotezy Pustelnik Popiel III wygnany oznacza pierwiastek legitymistyczny, Kirkor rycerstwo pierwszego zachodnio-europejskiego typu, Matka wdowa stan równości pierwotnej przed rozdziałem społeczeństwa na warstwy, Balladyna możny czynnik arystokratyczny, Alina pognębiony demokratyczny, Filon reprezentuje niepraktycznych marzycieli i klasycyzmem przesiąkłych poetów. Grabiec szlachtę szaraczkową, von Kostryn żywioły obce i mieszczańskie. I w Goplanie chce autor widzieć tylko personifikacyą bezmyślnej, pięknej i kochającej polskiej przyrody a nawet pod pseudonimem Wawela odkrywa Lelewela i wszystkich rzekomo niepożytecznych szperaczy historyków.

Przyznać trzeba, że allegorya zręcznie jest ułożona i że z tem przypuszczeniem cała akcya wcale konsekwentnie daje się zastósować do przemian społecznych i następstw ich politycznych w dziejach Polski. Nawet tak wytykane przez recenzentów ukoronowanie niespodziewane Grabca i obecność nieuzasadniona w zamku na uczcie, nabiera przez to znaczenia i staje się umotywowanem pośrednio jako allegorya rzekomego przeniesienia władzy prawowitej na ogół szlachty w 16 wieku. — Autor idzie jeszcze dalej i komentuje pojedyncze wyrazy i opisy w sposób odpowiedni do założenia. I tak w opowiadaniu Grabca o swem pochodzeniu podstawia za kościół rzeczpospolitę, za organy sejm, za dudy pańską fortunę i znaczenie, za golenie wyzyskiwanie ludu, za grę na organach gardłowanie panom, za pannę młodą jezuityzm. Jakkolwiek takie postępowanie może się wydawać trochę sztucznem, ale jest zręcznem i łatwiej możnaby je przypuścić, niż komentarz do powieści Pustelnika o pochodzeniu korony polskiej, według którego Betleem miałoby oznaczać Rzym, Lech — Bolesława Chrobrego, rubiny — krew narodu, a Scyta(!) powracający z magami od żłobu Zbawiciela i zabłąkany „w zbożu jak w lesie“ miałby oznaczać Ottona(!). W ten sposób można wszystkiego we wszystkiem się dopatrzeć, bo gdzież granica dla takiego, co zaszedł tak daleko?

W ogóle takie tłomaczenia choćby niewiedzieć jak się nadawały pozornie aż do najdrobniejszych szczegółów, choćby dawały powód do najszczytniejszych i najgłębszych myśli — naszemu autorowi rzeczywiście natchnęły kilka ładnych uwag o misyi poezyi i sztuki w ogóle i o tematach dla sztuk innych, któreby się dały zaczerpnąć z Balladyny w ten sposób pojętej — takie tłomaczenia nie podnoszą artystycznej wartości sztuki; bo niech p. L. J. dowodzi jak chce (a właściwego nawet dowodu nie podał tylko proste twierdzenie), allegorya w poezyi dramatycznéj, a mianowicie ten rodzaj wytrwałej od początku do końca przeprowadzonéj symboliczności, jest najniższym szczeblem sztuki, a wrażenie tragiczne maleje nieskończenie, jeśli bohaterami nie są ludzie, ale tylko personifikacye.

Zresztą na przyjęcie tak zawiłej konjektury, na którą dopiero w dużo lat po śmierci Słowackiego wpadł jeden jedyny człowiek, same dowody wewnętrzne, choćby nie wiedzieć jak piękne, nie wystarczą, — a dowodów pozytywnych, zewnętrznych, śladów w listach Słowackiego lub przedmowie do Balladyny, nawet autor nie wynalazł; bo przecież naprzeciw jedynemu mglistemu wyrażeniu o „chórach prorockich wydobytych z ciszy wiekowej“ naprzeciw myśli ofiarowania Balladyny autorowi Irydiona, można postawić mnóstwo wyrażeń tak z listów jak z tejże znanej przedmowy, które każą wnosić, że mu nie przeszło przez głowę w te kreacye wlewać jakieś głębokie zapatrywania społeczno-polityczne. Przeciw temu świadczy cała istota geniuszu Słowackiego, tj. geniuszu jego w tej pierwszej epoce zawodu, gdy Balladyna była pisana.

Dla tego z całkowitem uznaniem i wdzięcznością dla krytyka, który literaturę o Słowackim przyozdobił tak interesującym i niesłychanie zręcznym komentarzem — musimy ostrożnie tylko przyjmować jego hipotezę, dopóki jej nie poprą bardziej niezachwiane argumenta; bez nich zostanie zawsze cała budowa pana L. J. nader pięknym i ciekawym zamkiem — na lodzie. Dawnoż to jeden z sławniejszych recenzentów muzykalnych opierając się na dwuznacznych tytułach i — jak sądził nie bez pozoru — na samej treści sonaty Beethovena op. 81 wysnuł z tej kompozycyi zupełną powieść o miłosnym stosunku, przez który ten namiętny, dalej melancholiczny, w końcu wesoły utwór miał być wywołanym; — tymczasem odkryty autograf pokazał, że „pożegnanie, nieobecność i powrót“ odnosiły się do podróży Arcyksięcia Rudolfa.

S. Tz.

Poezye i powieści.

Felicyan: Althea, tragedya. W „Bluszczu“ 1875 r. Nr. 13—17.

Józef Szujski: Maryna Mniszchówna, tragedya historyczna w II. częściach. W „Przeglądzie Polskim“ 1875 r. Zesz. Sierpniowy str. 320—382 i Wrześniowy str. 1—56.

235] Zestawiamy tu dwa bardzo niepodobne do siebie utwory dramatyczne, zasługujące na największą uwagę. Obydwa przekraczają zwykłe prawa dzisiejszéj sceny, obydwa winne powszechne wzbudzić zajęcie.

Pierwszy utwór drukowany w warszawskim „Bluszczu“ wyszedł z pod pióra znanego autora, choć ukrywa się pod pseudonimem. Zapatrzony w greckie wzory, napisał na przekór wymaganiom dzisiejszéj sceny tragedyą podzieloną nie na akta, jedno na dyalogi porozdzielane chórami. Starał się przytem o dowody erudycyi, dając techniczne i u samych tragików greckich nie używane nazwy częściom swego utworu. Używał prócz tego niezwykłej u nas ortografii pisząc już zaraz na tytule „Althea“ a nie jak zwykle Altea. Wreszcie chcąc rzecz w zupełnie helleńskie i niezwykłe szaty przyodziać, użył po raz pierwszy może w literaturze naszej niezmiernie sztucznego wierszu białego w dyalogach, wierszu zupełnie niepraktykowanego. Tylko w chórach uczynił autor to ustępstwo, że misternie rymy między niezwykłe wiersze powplatał. Otóż trzeba przyznać, że ta metryczna próba powiodła się świetnie, i że efekt języka i wiersza jest zawsze silny a czasem wspaniały. To wierszowanie musiało być pracą żmudną, ale jest ono pracą udaną. Możnaby tylko autorowi życzyć, by nie używał tyle spółgłosek i brzmień tak twardych. Zdaje się czasem, że poeta naumyślnie najtwardsze słowa polskie sprowadził na jedno miejsce. Tę twardość podnieść trzeba było koniecznie, ale powtarzamy, że strona metryczna i formalna rzeczy jest niezwyczajnie świetną.

Autor odstąpił, mimo całej swojej archeologicznej staranności, w niejednej rzeczy od swoich wzorów. Nie

mam tu na myśli wprowadzenia chóru strzelców prócz głównego chóru, bo to rzecz pomniejsza, ale mam na myśli cały sposób prowadzenia rzeczy.

Liryczne ustępy u tragików greckich bywały zamknięte w chórach i w końcowym ustępie, w którym bohater doznaną katastrofę opłakiwał, albo w którym nad ciałem bohatera zawodzono. Zresztą prowadzono w ciągu całej sztuki nadzwyczaj żywy, jasny i prosty dyalog, w którym znać było, że chodziło poecie o to, by uprzytomnić przebieg minionego a wielkiego wydarzenia. Dyalog ów przedstawiał podstępy złych, szlachetne pragnienia dobrych, u Eurypidesa nawet śmieszności ludzkie. W dyalogu tym odzwierciedlało się zachowanie tych, których zdarzenie najbardziej obchodziło. A że jedność miejsca poetów wiązała, więc opis epiczny, jasny i plastyczny, dalekich wypadków przerywał czasem tok dyalogu. Takie opisy bywają często główną pięknością tragedyi Eschyla, którego wadą zbytnia górność dyalogów i zbytnia rozciągłość chórów.

Otóż widoczną rzeczą, że Felicyan głównie Eschyla iobrał sobie za wzór. Uderzony niezwykłą siłą Eschyla, chciał ją przewyższyć. Liryczne ustępy rozszerzył tedy niezmiernie, tak, że całą prawie sztukę zajęły, i sam dyalog uczynił lirycznym, używając nowych często i aż niezrozumiałych choć górnych słów. Zamiast jasnego opisu Meleagrowych łowów, dał nam mgliste choć wielkie obrazy, w liryczny sposób wypowiedziane.

I co do sposobu przeprowadzenia intrygi odstąpił poeta od starych wzorów. Nie mówimy już o tem, że przemienił zupełnie i że tak powiemy zbajronizował starą a prostą klechdę, ale mówimy o fantastycznym kolorycie nadanym osobom. U Eschyla ludzie są półbogami, u Felicyana, chcąc większe jeszcze przybrać rozmiary, stali są dziwnemi cieniami. Althea jest najdziwniejszą matką, co z zazdrości, jakby jaka kochanka, syna zabija. Atalanta niewiedzieć dlaczego stała się amazonką, a Empuza w królewnę przemieniona jest przesadzoną Kassandrą o niezrozumiałych nieszczęściach.

Kto talent Felicyana uznaje, ten winien mu powiedzieć, że należy świetną formę uczynić mniéj dziwną, prostszą i zrozumialszą, że w klasycznym nawet dramacie potrzebny żywioł dramatyczny, i że piękni i mocni ludzie ciekawsi od fantastycznych cieniów. Niech się poeta zapatrzy na prostotę i jasność dyalogów Sofoklesa, na psychologiczną prawdę Euripidesa, na wspaniałe opisy Eschyla: a wzbogaci naszą literaturę świetnemi utworami o niezwykłych klasycznych kształtach. I taka grecka tragedya może być sceniczną, skoro się zbytecznego liryzmu pozbędzie, i skoro się jasną stanie.

236] Drugi utwór: „Maryna Mniszchówna", to najlepszy może dramat zasłużonego i powszechnie znanego pisarza. I on jednak niezwyczajną, i na scenie szkodliwą przybrał formę, podzieliwszy się na dwie tragedye, z których jedna ma trzy a druga cztery akta. Pierwsza tragedya bardziej wykończona, jest naszem zdaniem zupełnie piękną. Bieg wypadków opowiedziany po prostu i jasno, charakter obydwu narodów walczących dobrze przeciwstawiony, a nadewszystko postacie Dymitra i Maryny po mistrzowsku odtworzone. Scena Dymitra z Maryną w pierwszym akcie porywa siłą i pięknością, a mało znamy rzeczy tak pięknych jak scena Maryny z matką Dymitrową.

Radzibyśmy i drugiej części takie same dać uznanie. I tu charakter Maryny przedstawiony po mistrzowsku, i tu działa potężnie sprawiedliwość poetycka, ale sceny są mniej dobrze powiązane, ubyło plastyki i całe wykonanie mniéj staranne. Postać Dymitra II nadto brzydka, a są postaci polskie nie dość osobiste i grzeszące niecharakterystycznym idealizmem, wierszowanie wreszcie czasem niedbałe. Nie idzie zatem, żeby i tu nie było wspaniałych ustępów; że tylko bitwę kluszyńską wspomnę, że tylko wspomnę mistrzowskie zakończenie.

„Maryna Mniszchówna" doznała zimnego na scenie przyjęcia. Nie wiemy czy to wina aktorów, czy raczej publiczności. Wiemy tylko, że to nie wina autora, który rzecz piękną i bardzo piękną stworzył. *W. D.*

J. I. Kraszewski: Ostatnie chwile księcia Wojewody (Panie Kochanku). Z papierów po Glince spisał.... Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolfa. 1875. str. 196, 8vo.

237] Książeczka ta jest dowodem, że talent potrafi nawet rzecz małą zrobić zajmującą i ładną. Zdawało się, że o Radziwille Panie Kochanku nic nowego nie powie nawet Kraszewski, który tą postacią w kilku już dziełach con amore się zajmował.— Glinka będąc świadkiem ostatnich chwil Księcia, a słysząc często powtarzane przezeń imię Felisi, po długich staraniach dowiaduje się od pana Wiśniowskiego, starego przyjaciela i sługi domu Radziwiłłów, o smutnéj przygodzie i winie Księcia Karola w latach młodzieńczych. Nieprzyzwyczajony do oporu w zaspokojeniu namiętności, a nie mogąc żadną miarą pozyskać pięknej panny Wojżbunowny, która miała właśnie iść za mąż za zacnego chłopaka, napadł R. dom ojca, porwał ją gwałtem — a choć później uciekła i Radziwiłł wszystko czynił, co mógł, żeby ją i ojca przebłagać — już szczęście całej rodziny zrujnowane było na zawsze. Felisia nie mogąc znieść sromu, a nie chcąc wnieść go do domu przyszłego małżonka, wstąpiła do klasztoru, ojciec umarł w zgryzocie i rozpaczy. Wielki ten grzech ciężył Radziwiłłowi do samej śmierci. W ostatnich chwilach dopiero Opatrzność zdarzyła, że jedną z pilnujących chorego zakonnic była Wojżbunówna. Uzyskawszy przebaczenie umiera. Oto główna osnowa, w któréj zmyślenie z prawdą w zręczną splata się całość. Temat, jak widzimy, zaledwo na parę kartek, a jednak autor umiał wtrącić tyle zajmujących szczegółów, że książeczkę całą czyta się z prawdziwem zajęciem — tembardziej, że język płynny, potoczysty i czysto polski. Polecamy ją szczerze czytelnikom naszym. *H. Z.*

Ludwik Niemojowski. Obrazki z Syberyi, ilustrował E. M. Andriolli. Warszawa, 1785. str. 497, 8-vo.

238] Pamiętniki z Syberyi zajmują w literaturze naszéj dość znaczne stanowisko, nie tyle jednak ze względu na jakość, jak raczéj na ilość. W ostatnich latach wzrosła znacznie liczba tego rodzaju książek, ale doniosłość ich dla nauki pozostała żadną lub nadzwyczajnie małą. I nie dziw: — autorowie pamiętników przebywali na Syberyi nietylko w najniekorzystniejszych dla studyów warunkach, ale nadto patrzyli obojętnie na otaczający ich świat, — jedyną myślą ich był jak najspieszniejszy powrót do swoich. Po szczęśliwym jednak powrocie zmieniła się postać rzeczy. To co było dawniéj bolesnem i wstrętnem dla nich, to właśnie stanowiło w lepszych warunkach przedmiot miłych wspomnień, a nie jeden wypadek wówczas przykry, nabrał weselszéj cechy, tak jak każda niedola,

która przeminęła i która już może nie wróci. Chęć zostania autorem dzieła drukowanego stała się bodźcem do zebrania tych wspomnień, a najbliższe kółko przyjaciół zagrzewało zwykle przyszłego autora do przeprowadzenia zamiaru. Ale niestety i sam autor spostrzegł wkrótce, że nie dość poznać kilku urzędników niższych, kilku kupców pijanych i garstkę chłopów, nie dość być głodnym i niewyspanym przez jakiś czas, aby módz napisać o tem dzieło! Trzeba więc było się ratować. Z jednéj strony przyszły w pomoc anegdotki słyszane na Syberyi od krajowców, z drugiéj strony fantazya i odwaga poruszenia wszystkich kwestyj, chociażby o nich autor nigdy nie myslał. Tak powstała znaczna część pamiętników o Syberyi, a publiczność czytająca tak się już nieraz na nich zawiodła, że obecnie czyta je z mniejszém zajęciem.

Pamiętniki p. Niemojowskiego mają jednak nierównie większą wartość, już dla tego, że autor bardzo wiele zwiedził, zwracał na wszystko uwagę i umiał to opisać. Ale mimo to umieścił autor wiele rzeczy zupełnie niepotrzebnych, tym sposobem zmusił czytelnika do przerzucania wielu kartek i do szukania lepszych ustępów. Przedewszystkiem ustęp o etnograficznych stosunkach Syberyi jest słabo napisany. Autor widać dopiero po powrocie do kraju zaczął studyować etnografią Syberyi, i tym sposobem poprzyczepiał tylko swoje wiadomości na miejscu zebrane. Inaczejby to wypadło, gdyby autor wcześniej już porobił te studya, bo innemby okiem patrzał na te stosunki. Równie niepotrzebnym jest obszerny ustęp ekonomiczny o doniosłości projektowanej kolei żelaznej przez Syberyą. P. N. zapełnia cały ustęp elementarzem ekonomicznym, a to co sądzi jako zupełnie nowe, jest powszechnie znanem, i każdy znający cokolwiek stosunki handlu azyatyckiego z Rosyą, przyjdzie z łatwością do tych samych wyników.

Niepotrzebnemi są również historye n. p. pisarza ziemskiego, opowiadania żebraka i wiele innych, bo malują one wypadki tak częste na całym świecie, że nawet nie budzą ciekawości. Mody i zwyczaje klas średnich i wyższych na Syberyi są zaledwie dotknięte, i nic dziwnego, gdyż warunki w jakich znajdował się autor, nie dozwalały mu poznać ich bliżej.

Ale za to z drugiej strony posiada to dzieło wiele wybornych ustępów jak n. p. forteca ze śniegu, rzecz o włóczęgach, o kramarzach i. t. p. a całe dzieło możemy śmiało policzyć do najlepszych między nowemi pamiętnikami, a jeżli tu i owdzie znajduje się zbyteczny ustęp, to za to nie ma tam ani przesady, ani też owego nieustannego zajmowania czytelnika wyłącznie sobą, ani też tej naiwności w poglądach, którą tyle razy słusznie zarzucano tego rodzaju pamiętnikom. *Fr. B.*

Bibliografia.

Słowniczek łacińsko polski wyrazów prawa magdeburskiego z wieku XV. Przedruk homograficzny z kodeksu kórnickiego, objaśnił Dr. **Zygmunt Celichowski.** Poznań, nakładem biblioteki kórnickiej 1874.

239] Właśnie kiedy Akademia umiejętności przedsiębierze pierwszy krok w pracy około słownika polskiego, niezmordowany mecenas naszego piśmiennictwa hr. Jan Działyński zapowiada wydanie całego szeregu pomników języka i prawa polskiego z kodexów swej biblioteki w podobiznach homograficznych. Nie można było obrać stosowniejszej chwili. Ogłoszony już słowniczek wyrazów prawa magdeburskiego najlepiej o całem wydawnictwie wróży. Druk homograficzny nic do życzenia nie pozostawia a żadnych wątpliwości nie dopuszcza. Rzecz sama jest nader miłym przyczynkiem do historyi naszego prawniczego języka, a korzystanie z niej ułatwił dr. Celichowski, dołączając alfabetyczny wykaz słów polskich w słowniczku rzeczonym łacińsko-polskim zawartych, które p. C. nadto z temi samemi wyrazami w innych podobnych słowniczkach z XV wieku znajdującemi się zestawia. *M. B.*

Ruch naukowy w Akademii Umiejętności.

Z większem niż kiedykolwiek życiem rozpoczęły po upływie tegorocznych wakacyj działalność swoją komisye akademickie. Komisye niedawno powstałe pod względem zajęcia, jakie budzą, i sił jakiemi poruszają, zaczynają stawać do współzawodnictwa z najdawniejszemi, historyczną i fizyograficzną, które Akademia odziedziczyła po b. Towarzystwie naukowem. Mamy tu na myśli przedewszystkiem komisye prawniczą i antropologiczną. Ostatnia doznała niespodziewanego poparcia w całym kraju i tak np. wystosowawszy wezwanie do zbierania spostrzeżeń antropometrycznych przy sposobności ostatniego poboru do wojska, otrzymała jak najdokładniejsze daty z 28 powiatów zebrane z 3704 osób. Swoją zaś drogą koło ludzi, którzy bądź na zaproszenie komisyi, bądź też za zgłoszeniem się z własnego popędu, zbierają materyały dla celów komissyi i podług instrukcyi przez nią wydanych, rośnie nieprzerwanie. Widząc też ruch ten komisyi wewnętrzny oczekujemy z niecierpliwością, kiedy komisya z pracami swemi a przynajmniej z zestawieniem materyałów na zewnątrz wystąpi.

Komissya prawnicza ukonstytuowała się na nowo w d. 13 b. m., a pierwsze jej posiedzenie mogło już każdego przekonać, że komisya ta, która dotychczas niemal na papierze tylko istniała, obecnie się do najruchliwszych zaliczy. Przypisujemy to szczęśliwej myśli przyjętej przez komisyę celem usunięcia najgłówniejszej przeszkody, która rozwojowi umiejętności prawniczych u nas dotychczas stoi w drodze. Oto prace ściśle naukowe w pewnych specyalnych kierunkach przedsiębrane, jednem słowem monografie, nie mają się dotychczas u nas przyczepić do jakiegoś ogólnego obrazu całego przedmiotu, muszą się rachować z tym poziomem nauki, jaki za granicą, przeważnie w książkach niemieckich napotykają, a temsamem chociaż napisane w języku polskim, duchem swoim i treścią należą integralnie do literatury prawniczej niemieckiej. Ktokolwiek więc myśli u nas na seryo o rozwoju umiejętności prawnych, ten musi sobie przedewszystkiem położyć za zadanie, ażeby literaturze naszej przyswoić przedewszystkiem ostatnie wyniki dotychczasowych prac nad całym przedmiotem, ażeby wydaniem ściśle naukowych dzieł podręcznych stworzyć niejako podstawę dla specyalnych dochodzeń i badań. Takie zadanie postawiła sobie i przyjęła komissya prawnicza na pierwszem swem posiedzeniu, zadanie wypracowania systematycznej encyklopedyi wszystkich nauk prawnych i politycznych w rodzaju np. encyklopedyi niemieckiej Holtzendorffa. Słyszeliśmy nawet w łonie akademii bardzo poważne głosy, że przedsięwzięcie takie nie odpowiada zadaniu akademii — posuwania naprzód umiejętności, jednakże ze zdaniami temi żadną miarą nie możemy się zgodzić. Akademia przecież nie jest rośliną abstrakcyjną i kosmopolityczną, bo w takim razie

obok tylu innych wielkich zagranicznych akademij nie miałaby może i racyi bytu, ale jest akademią naszą, której zadanie polega na posuwaniu naprzód i na podnoszeniu tej umiejętności, na jaką kraj nasz dotychczas zdołał się zdobyć. Jeżeli umiejętność ta stoi jeszcze bardzo nisko, jak np. nauki prawnicze, to nietylko to nie ubliża powadze komisyi z łona Akademii wydelegowanej, ale jest jej pierwszym, najświętszym obowiązkiem, aby usiłowania swoje nawiązać do tego, co już istnieje, rachować się z potrzebami, a gdy tego wymaga konieczność, chociażby dziełami podręcznemi naukę tę starać się podnieść. Przecież dzieła podręczne nie przestają być ściśle naukowemi. Jeżeli zaś dzieła te przyswajać będą naszej literaturze najnowsze wyniki badań obcych, jeżeli tu i owdzie oryginalnem także zaświecą badaniem i wnioskiem, to sądzimy, że przyniesą one Akademii w obecnych naszych stosunkach zaszczyt, a prace jej zwiążą bliżej z krajem i nadadzą im w jednym kierunku widoczny już dla każdego praktyczny wpływ i pożytek.

O wpływ ten powinno Akademii koniecznie chodzić, bo za wpływem idzie materyalne poparcie. Akademia dotychczas zasklepiwszy się w pracach naukowych, których pożytek nie jest w pierwszej chwili widocznym, pomimo nieprzerwanego szeregu poważnych publikacyj nie zdobyła sobie jeszcze w całym kraju nie powiemy uznania, ale tej prawdziwej wiary w rzetelność i pożyteczność swej pracy. Dla tego też publiczność przystępną jest każdemu głosowi, który ubierając się w pozory znajomości stosunków i rzeczy, prawi o Akademii. Nie mówimy już o krzykach tromtadratycznych, które bez zgromadzeń ludowych i fakelcugów żadnej nie rozumieją pracy, ale napiętnować tu musimy z oburzeniem głos, który w ostatnich dniach podniósł się w korespondencyi z Krakowa do Dziennika Poznańskiego. Nie wiedzieć jakie pobudki go podyktowały, czy obrażona miłość własna, czy duch intrygi i dokuczenia, czy wreszcie reassumująca to wszystko głupota. Sądzimy, że ta ostatnia, a dziwiliśmy się tylko, dla czego Sekretarz Akademii występując z odparciem zarzutów, nie nazwał rzeczy po imieniu i w przezto felietonowej pogawędce siłę argumentów, jakie wydobył, osłabił.

W Krakowie dnia 25 Listopada 1875 r.

Spis nowych książek nadesłanych redakcyi.

Antoniewicz: Czytania świąteczne dla ludu naszego, wydanie szóste, 8vo, str. 148, Kraków 1876, nakład księgarni G. Gebethnera i Spółki oraz Wydawnictwa dzieł katolickich.

M. A. Baraniecki: Arytmetyka. Warszawa, 1875 str. 96, 4-o. (Panteon wiedzy ludzkiej, nakładem Przeglądu tygodn. I).

M. A. Baraniecki: Algebra. Warszawa, 1875. str. 54, 4-o. (Panteon wiedzy ludzkiej II).

M. A. Baraniecki: Rozwinięcie na ułamek ciągły stosunku dwóch zupełnych całek eliptycznych pierwszego i drugiego gatunku. Paryż, 1875. (Wyciąg z Pamiętnika nauk ścisłych tom VII). str. 8, 4-o,

Dobrowolski, Józef: Życie i liryzm Szekspira. Kraków, 1875, str. 45, 8vo.

Dzieje starego i nowego zakonu dla użytku rodziców i tych co uczą małe dzieci. Poznań, wydawn. X. Bażyńskiego. 1876. str. 64, 16-o.

El...y: Żyd, dramat współczesny w 3 aktach. 8vo, str. 80. Kraków, 1876, nakład Adolfa Dygasińskiego i Spółki.

Faber: Wszystko dla P. Jezusa czyli łatwe drogi do miłości Bożéj, przekład z angielskiego, wyd. drugie, 8vo, str. 474. Kraków, 1876, nakład księgarni G. Gebethnera i Spółki oraz Wydawnictwa Dzieł Katolickich.

Ihering, Prof. dr. Rudolf: Walka o prawo, przekład Ant. Matakiewicza (przedruk z „Prawnika“). Lwów, 1875, 8vo, str. 77.

Katalog książek polskich wydanych od 1860—1874, a do nabycia u Gebethnera i Wolffa w Warszawie. Warszawa, nakład spółki księgarzy 1875. str. 287, 8vo.

Kierdej, hr. Zygmunt: Wspomnienia z wygnania. Poznań, 1875. 8vo, str. 132.

Kolberg, Lud, serya IX, Kraków, w drukarni akademickiéj, 1875.

Kolumb II: Podróż niepodróżującego po nieznanych krajach do źródeł rzeki purpurowéj. Bochnia 1875, 8vo str. 302.

Kraszewski Kawał literata, wizerunki współeczne z końca 18 wieku, str. 209, 8vo Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa.

Kraszewski: Roboty i prace. Sceny i charaktery współczesne. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1875. str. 383, 8-o.

Lutostański, dr.: Zastosowanie wagi dziesiętnéj (gramowéj) do praktyki lekarskiéj dla użytku lekarzy i aptekarzy (z tabliczką zamiany wag do użytku podręcznego), 8vo, str. 30, Kraków, 1875, nakład księgarni G. Gebethnera i Spółki oraz Wydawnictwa Dzieł Katolickich.

Obraz świata roślinnego, przez autorkę wieczorów czwartkowych. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1875. str. 407, 8vo, z licznemi drzeworytami.

Oczapowski: Władza i układ państwa, zarysy polityki i porównanie prawa konstytucyi. 8vo, str. 216. Kraków, w drukarni uniw. Jagiell. 1875.

Petion Eustachy: O budowie tanich pomieszkań. Lwów, 1876, nakład Księgarni Polskiéj, 8vo, str. 30.

Petrow, Aleksander: Głosownia dolnołużyckiego języka. Kraków, 1875, str. 53, 8vo (z III. t. Rozpraw wydziału filolog. Akad. Um.).

Prus, Bolesław: Pałac i rudera. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1876, str. 183, 8vo.

Rościszewski, Sigismund von: Zur Kenntniss der Dignathie. Berlin, 1875. (Aus Virchows Archiv f. pathol. Anatom. etc. T. 64.) str. 19 i 2 tabl. 8vo.

Sofoklesa tragedya Dziewice Trachińskie, przekład Z. Węclewskiego. Poznań, 1875, 8vo, str. 85.

Statuta synodalia Episcoporum Cracoviensium XIV i XV saeculi. edid. curavit prof. Udalricus Heyzmann. (Starodawne prawa polskiego pomniki tom IV.). Nakład. Akad. Umiej. w Krakowie 1875. str. XVI i 288, 4-o.

Stecki, Tadeusz Jerzy: Łuck starożytny i dzisiejszy, monografia historyczna. Kraków, nakład Czasu, 1876. str. V i 232, 8-o.

Shakespeare, William: Dzieła dramatyczne, przekład pod redakcją J. I. Kraszewskiego. Zeszyt 13, 14, 15. (T. I. str. 481—573, dokończenie). Warszawa, 1875.

Ryszard III., przekł. Paszkowskiego, dokończ. Henryk VIII., przekład Ulricha.

Smolka, Dr. Stanisław: Archiwa w W. X. Poznańskiem i w Prusiech. Sprawozdanie z podróży odbytej z polecenia komissyi histor. Akad. Umiej. w r. 1874. Kraków, 1875, str. 296, 8vo

Sutowicz Julian: Sprawa Zborowskich na sejmie 1585, Kraków 1875. 8vo, str. 70.

PP. Autorowie i nakładcy, życzący sobie, aby o ich publikacyach podaną została natychmiast wiadomość biblio graficzna, a później w najbliższym czasie krytyczna ich ocena, zechcą takowe nadsyłać do Redakcyi zaraz po ich ogłoszeniu.

Nakładem **G. Gebethnera i Spółki** w Krakowie. Wydawca: **Wł. L. Anczyc.** Odpowiedzialny redaktor: prof. **W. Zakrzewski.**
W drukarni Wł. L. Anczyca i Sp. pod zarz. St. Gralichowskiego.